

KAZIMIERZ PAPEE
PIUS XII A POLSKA
1939 — 1949
(PRZEMOWIENIA, LISTY, KOMENTARZE)
Stron 178. CENA 17/6
KATOLICKI OSRODEK WYDAWNICZY
„VERITAS”
12, PRAED MEWS, L O N D O N, W. 2

ZYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

JESLI LEKI. TO Z APTEKI
GRABOWSKIEGO
175, DRAYCOTT AVENUE,
LONDON, S.W.3. ENGLAND

NIEDZIELA, 19 CZERWCA 1955 R.

PUNKTY WIDZENIA

PRZY RUE DES IRLANDAIS
I RUE ST. HONORE

Tak się siozlylo, ze przez kilka dni
przebywalem w gmaczu, w ktorego
malych, niemal klasztornych zdeb-

Przebieg swiecen kaplanskich wywie-
ra glubokie wrazenie. Uroczystosc trwa
tylko godzinami, ale czlowiek uczestnicza-

Przecnoczac korytarzami wielkiego
gmaczu, obok drzwi do kleyckich cel,
myslam czesto o tych ostatnich god-

W pewnej chwili ceremonii celebrans
wkłada ręce na głowę przyszłego kap-
plana, co jest znakiem nadania

Był to rok 1945, tuż po pogromie
Niemiec. Pomiędzy Monachium a Da-
chau, miejscem straszego obozu kon-

Świecenia aiunnow z Dachau miały
się odbyć w kościele w Pullach. Świa-
tynia wypełniła się po brzegi. Byli Po-

O późnym zmierzchu tego sobotniego
dnia na pustym dziedzińcu seminarium
otwarły się cicho drzwi kaplicy i w

Na widok tych ubran więziennych,
cały kościół zamrzał w smiertelnym mi-
lenciu. Niemcy stali, jak porażeni.

Przeszli i zgineli w mroku. Dla tych
ludzi jest więc wartość, która oplaci
nawiazka wszystko: i trud, i znużenie,

Zeby już zapisać wszystkie wrazenia
z tych seminarijnych tematów, opowi-
em o zaslyszanym przy rue des Ir-

Zbiegają się do tych szkół chłopcy
ze wszystkich polskich srodowisk emi-
gracyjnych w Europie, przyjeżdżają

Mój Bcze, i w tym jest także sym-
bol. I to jaki!

JANUSZ A. IHNATOWICZ

ŚLADAMI KAWALERA DE TROYES

W roku Pańskim 1686 Chevalier
Pierre de Troyes z wybranim oddzia-
lem żołnierzy Nowej Francji dotarli po

Szlakami odkrywców, szlakami leś-
nych conquistadorów, posunęły pocią-
gi zaopatrzone w bary, restauracje i

Jedna tylko noc przespana w kom-
forcie „slepera” dzieli upał czerwco-
wego Toronto od zagajników, biednych

Nasi „fellow travellers” napełniają
nas pewnym niepokojem. Jakoż w jed-
nym końcu wagonu wyraca się ktoś

KS. WŁADYSŁAW ŚLAPA

„JEGOMOŚ”

Artykuł s. p. Ks. Prof. Michalskiego
w ZYCIE (nr 14/15) sprawił, że postać
tego wybitnego filozofa i kapłana od-

Przygryział nas swą wielkością i słu-
chając jego trudnych wykładów czu-
liśmy się, przynajmniej ja, mali, ma-

Bez przygłosa (balisy) się z nimi spot-
kać! - za grubymi szklami wyglądały

Artykuł s. p. Ks. Prof. Michalskiego
w ZYCIE (nr 14/15) sprawił, że postać
tego wybitnego filozofa i kapłana od-

co się na dachach domów oznaczało
gorąco. Ach, co za niespodzianka! Na
peronie powietrze jest ostre powie-

Tu też konczy się komfort chłodzo-
nej, dywanowej, obsłużonej podróży.
Pociąg, który nas wita na peronie wy-

Nasi „fellow travellers” napełniają
nas pewnym niepokojem. Jakoż w jed-
nym końcu wagonu wyraca się ktoś

Dzień się tymczasem zrobił ponury,
górskie poranne słońce roztopiło się w
chmurach. Białe i czerwone domy Co-

Artykuł s. p. Ks. Prof. Michalskiego
w ZYCIE (nr 14/15) sprawił, że postać
tego wybitnego filozofa i kapłana od-

dwa roczniki, brzmiał głębokim baryto-
nem. Nigdy słych prelekcji nie czyta-
ł: miał zbyt słaby wzrok a ponadto

Artykuł s. p. Ks. Prof. Michalskiego
w ZYCIE (nr 14/15) sprawił, że postać
tego wybitnego filozofa i kapłana od-

Głos jego w wielkiej sali, w której
głośno się ponad stu młodych teolo-
gów, bo z trzech seminariów pierwsze

ko kilka szatyńców, i oto szosa ury-
wa się nagle i oto wjeżdżamy w las, —
w sławny północny „bush” ciągnący

Drzewa są w nim niskie, na pół kar-
lowate, lecz pełne sily nabytej w cią-
głym oporze wichrom. Zielen tych

Od czasu do czasu pociąg zatrzymuje
się, puszczając powoli: McInnis, Mile
51.5, Mile 60. (2) Za nami pozosta-

Nagle pojawiają się wzgórza i wija-
ce bezczelne doliny; wśród tych prze-
ginań i zwrotów krajobrazu wydaje się,

Artykuł s. p. Ks. Prof. Michalskiego
w ZYCIE (nr 14/15) sprawił, że postać
tego wybitnego filozofa i kapłana od-

głosem, dobrze wyszkolonym na placu
ćwiczeń w podchorążówce, krzyknąłem
na całą salę: „Quantitas, qualitas, si-

Artykuł s. p. Ks. Prof. Michalskiego
w ZYCIE (nr 14/15) sprawił, że postać
tego wybitnego filozofa i kapłana od-

Przebieg swiecen kaplanskich wywie-
ra glubokie wrazenie. Uroczystosc trwa
tylko godzinami, ale czlowiek uczestnicza-

Przebieg swiecen kaplanskich wywie-
ra glubokie wrazenie. Uroczystosc trwa
tylko godzinami, ale czlowiek uczestnicza-

drzew. Jakby przywołane zaklęciem
wody, której chce się blyszczeć, słońce
ukazuje się: blade, napyły przesłonię-

Jemy obiad; a tymczasem porzucamy
Abitibi i słońce. Świat za oknem
ciemnieje bliższością wieczoru i nad-

Na stacji czeka nas tłum, mimo że
pada deszcz i jest zmierny, mimo że
od morza wieje przejmujący zimny

Artykuł s. p. Ks. Prof. Michalskiego
w ZYCIE (nr 14/15) sprawił, że postać
tego wybitnego filozofa i kapłana od-

Nazwa jej nie ma nic wspólnego z
fabryką, lecz ze starym słowem factoria
— sklep, miejsce wymiany. Tutaj

Artykuł s. p. Ks. Prof. Michalskiego
w ZYCIE (nr 14/15) sprawił, że postać
tego wybitnego filozofa i kapłana od-

Artykuł s. p. Ks. Prof. Michalskiego
w ZYCIE (nr 14/15) sprawił, że postać
tego wybitnego filozofa i kapłana od-

Artykuł s. p. Ks. Prof. Michalskiego
w ZYCIE (nr 14/15) sprawił, że postać
tego wybitnego filozofa i kapłana od-

Artykuł s. p. Ks. Prof. Michalskiego
w ZYCIE (nr 14/15) sprawił, że postać
tego wybitnego filozofa i kapłana od-

ŚLADAMI KAWALERA DE TROYES (Dokończenie ze str. 1)

Lecz zjawiają się tylko „chłopcy”; ale po chwili widac, że i oni należą do tego świata „Odysei Północy”. Bo pomimo ich radiostacji, ich samolotów, ich benzynowych elektrowni, są to same niespokojne wędrujące duchy Londonowskich bohaterów: zbyt niedorośli (jeśli wszelkie marzenie o pogodzie jest oznaką niedojrzałości), lub może zbyt dumni, by przyjąć kompromis i szarżynę cywilizowanego życia, a niezdolni do wyzwolenia duszy w słowach języka, kształtu ich dźwięku, w których od wieków ludzie znajdowali wyzwolenie i ucieczkę, niezdolni do tego wszystkiego zdobyli wolność przez trud, walkę i samotność. Oto Paul, radiooperator na Moose Factory, wykształcony, inteligentny; dlaczego „marnuje on swą młodość”, jak powiada gospodyni, w tym miejscu zapomnianym od Boga i ludzi? Oto Andrew, wielki kawał chłopca, który myśli tylko o jedzeniu, kobietach i pić, dla którego zenitem szczęścia i osiągnięcia jest wyprawa na południe do Sudbury czy Winnipeg, by na te uciechy przepuścić swe całonocne zarobki. Oto Bill, który na odludnej placówce w Rupertland musiał sam z sobą rozmawiać, by nie zwirować z milczenia. Oto Stan, pilot Austin Airways, który mówi: tutaj lepiej czuję się u siebie. Są też tacy, którzy są tu tylko dla pieniędzy, przekinając kraj, z którego czerpią dostatkę, wzdychając do miast, w których głodowali; garzy, niezadowoleni. Ale ci nie mają miejsca w epopei.

Po drugiej stronie wyspy, w szpitalu, chroni się grupa europejskich wygnańców intelektualistów, dla których praca tu była jedyną drogą wyrwania się z dymiących ruin i konwulsji kontynentu. Ci cierpią przejmującą głód towarzyszą swych parów, tęsknotę za obecnością tych wszystkich rzeczy, które, choć materialne, z ducha są; i w których kultura żyje. Cierpią, lecz z bezstronnością prawdziwych „klerków”, nie skarzają się, nie przeklinają; bo własna ich decyzja, zawsze wolny ludzki wybór przyniósł ich tutaj, gdzie północny wiatr pędzi lodowatą mgłę przez las, gdzie w czerwcu drzewa są wciąż nagie, gdzie kwiaty są zawsze blade; gdzie kolor jest tylko w głębokiej ultramarynie nieba i niemożliwie ostrej bieli domów.

Lecz wszystko wydaje się tu bliższe w swej „realności”; czuje się, że to prawdziwa treść rzeczy uderza zmysły, nie pozbawione znaczenia fasady; prawdziwa treść rzeczy, jak w symbolu, zamknięta w mroźnej nocy, która, gdy zorze polarne — zielone echa — zgasną, gdy ogniska indyjskiej wioski; okryją się ciemnią popiołu, i tylko fał klaskanie i sporadyczne ujadanie psów płynię od lasu do lasu, jest zaręcz tak bliska, że otacza nas kregiem swej realności i tak daleka, że dla zmysłów staje się symbolem wieczności; gdy tak wisi nad drzewami, nieruchoma, wznieśiona — zda się — ponad czas.

Tak to noc staje się symbolem świata polarnego, uniesień dzieciństwa i zamyślenia jak księżyc; jak pojawienie się i znikanie światła aureae borealis, jak poszczekiwanie nieznanych zwierząt wśród północnych sosn. A rano jest godziwą odjadu. Jest to kraina elementarnych kolorów; nasyconych ostrych barw; otwierają się jak pozaginane ramiona pomarańczowe plaże; nad bulgoczącą ciemną wodą — echem nieba — pochyla się ruda las; a oto szeroko otwiera się rzeka i suną ku nam białe ściany i czerwone dachy Moosonee i zielony wąż pociągu czeka, gdy chyży łódka płynię, fali trójką za sobą zostawiając — szybko niknący, mylny ślad na Północnym Morzu.

Janusz A. Ichnatowicz

ODSYŁACZKI: (1) „Portage” jest to miejsce na dziale wodnym, gdzie trzeba „canoe” przemieścić przez pagórek, by dostać się z jednego systemu wodnego do drugiego, np. ze spływu Lake Superior do spływu Atibiti River. Było to zawsze i jest najcięższą częścią podróży wodą tutaj.

(2) „Mile 51.5” etc. — Wiele miejscowości (o ile tak nazwać można te lumber camps) nie ma nazw. Położenie określa się ich odległością od Cochrane wzdłuż Ontario Northland Railway.

*) „A Mari Usque Ad” (ZYCIE nr 26 z dnia 27 czerwca 1954 r.) jest częścią pierwszą Canadians J. A. Ichnatowicza.

DRUGI WSPÓŁCZESNYCH NAWRÓCEN (III)

ANTYFONA DO TRZECH KRÓLI

Konwertyta nie zawsze musi być świętym, lecz jest tym, który dobrowolnie i z całą świadomością wybrał Bożą ścieżkę życia. Tego zdania jest współczesny pisarz angielski Evelyn Waugh (ur. 1903), który zanim zdobył Prawdę Jedną, przeszedł przez długie lata zmagania wewnętrznych i zwątpienia.

Evelyn Waugh mając lat dwadzieścia zdecydował, że zostanie pastorem anglikańskim i zaczął się kształcić w tym kierunku, nie wytrwał jednak w tym postanowieniu. Już po latach kilku, doszedłszy do wieku buntów młodzieńczych, nie tylko że porzucił zamiar służenia Boga, ale przestał wierzyć, że Bóg istnieje. Stało się to być może pod wpływem książek, które od najwcześniejszych lat pochłaniał z pasją. O wiele za wczesnie przebrał przez Pope'a, Leibniza, Renana. Zagubiony wśród sprzecznych kierunków i prawd książkowych, poddał się zwątpieniu. Nie mógł więc już być mowy o służbie Bożej, trzeba było przerwać rozpoczętą w tym celu naukę. Przerzucił na w wydzielony teren nauki w Oxfordzie. Tam nie tyle do nauki się przykładał, ile uczestniczył całą duszą we wszelkich modlitwach ekstrawaganckich. Po dwóch latach studiów uniwersyteckich, dość zresztą chałtacyjnych, opuścił i tę uczelnię, nie przystępując do egzaminów końcowych. Kryzys wewnętrzny trwał dalej.

Przeniósł się następnie do szkoły sztuk pięknych, potem studiował w Paryżu, a w końcu — zmuszony do zarobkowania — wrócił do Anglii, gdzie został nauczycielem w jednej ze szkół prywatnych.

W tym właśnie okresie zaczął próbować pióra i w bardzo szybkim czasie zyskał sławę nieprzeciętnego humorysty a co za tym idzie i niezależność finansową. Rzucił wówczas pracę nauczycielską, zerwał z pismem „The Daily Express”, gdzie był przez czas jakiś reporterem i postanowił zrealizować dawne i dotąd nie zaspokojone pragnienie podróży — pociągnął go kraje Morza Śródziemnego. Tam się udał przede wszystkim.

W czasie podróży stwierdził jednak z pewnym zdziwieniem, że bardziej go interesują spotykani ludzie i wszystko co ich dotyczy, niż dziwy i piękno poznawanych krajów, niż cuda przyrody i zabytki sztuki. Przez Ziemię Świętą przeszedł także bez specjalnych wzruszeń.

Twórczość tego okresu charakteryzują sarkazm i ironia, pod którymi wyczuwa się już jednak nurt zbliżających się przemian. Po powrocie do Anglii uderzają Waugh'a zjawiska, których dotychczas nie dostrzegał: skłócenie wewnętrzne współczesnych schizm i herezji. Tym wyraźniej rysował się na tym tle uniwersalny charakter Kościoła katolickiego. Na drodze rozumowych dociekań, ścisłych i najbardziej logicznych, E. Waugh doszedł do wniosku, że jeżeli istnieje PRAWDA, to można ją znaleźć jedynie w Kościele katolickim. Pożądał jeszcze stwierdzenia, czy rzeczywiście zasady filozoficzne doktryny katolickiej i historia rozwoju Kościoła potwierdzą to przekonanie.

Postąpił się zapisać z ojcem Martinem C. d'Arcy, profesorem filozofii w Oxfordzie, późniejszym superiorem ojców jezuitów w Anglii, który wyjaśnił mu wszelkie wątpliwości i wyłożył doktrynę katolicką w sposób jasny i przejrzysty. Waugh wreszcie znalazł Prawdę i Żywot.

Zdobycie wiary dało mu radość wewnętrzną, która pogłębiała się z każdym rokiem. Życie stało się teraz radością podróży wśród rozlicznych cdkryć, w poczuciu całkowitej wolności i bezpieczeństwa.

Uważał, że nikt stojący poza Kościołem nie mógł ani zrzucić, ani odzuczyć tego, co w sobie kryje uczestniczenie w żywocie Kościoła. Dlatego każdego ciekawego tych spraw zachęcał, by podjął próbę, by sam zobaczył, czym jest życie w prawdziwej wierze.

Nawrócenie miało dla Evelyn Waugh i bardzo bolesne konsekwencje, a mianowicie utratę żony, z którą ożenił się młodo, biorąc jedynie ślub cywilny. Żona nie umiała zrozumieć jego przemiany wewnętrznej i znużona ciągłym wracaniem do tego tematu odesz-

ła od niego na zawsze. Kiedy stracił całkowicie nadzieję na powrót jej do domu, Waugh przedsięwziął desperacko podróż po nieznanych przestrzeniach brazylijskich. Była to podróż pełna trudności i niebezpieczeństw i bisarz wiele z niej wyniósł doświadczeń.

Mimo tej bolesnej próby życia Waugh nie utracił ufności w miłosierdzie Boże. Opracował w niedługim czasie biografię bl. Edmunda Campion, młodego profesora z Oxfordu, który odrzucił błyskotliwą karierę młodego uczonego, wyemigrował do Francji, by tam ukńczyć seminarium duchowne i wstąpić do zakonu jezuitów. W czasie najgorszych prześladowań religijnych wrócił w przebraniu do Anglii, by w kilka miesięcy później ponieść śmierć męczeńską, dnia 1 grudnia 1581 roku w Londynie za zbrodnię odprawiania Mszy św.

Jest to praca, za którą Waugh otrzymał wysoką nagrodę literacką w roku 1936 i która do dziś dnia jest uważana za jedną z najlepszych biografii angielskich pierwszej połowy XX wieku.

Po wybuchu wojny abisyńskiej Evelyn Waugh wyjechał do Afryki jako reporter „The Daily Mail”. Po wielu przygodach, gdy zainteresowanie opinii publicznej zmalało znacznie dla tych spraw, powrócił do Anglii. Przejścia związane z tym okresem dały mu natchnienie do napisania jednej z najbardziej wziętych książek pod tytułem „Scoop”.

Zmęczony swoim awanturniczym życiem Waugh postanowił złożyć nareszcie prawdziwe ognisko domowe, pebłogosławione w kościele, i zeni się z Laurą Herbert. Dcpiro wojna 1939 r. wyrwała go znowu z grona rodzinnego. Wstąpił do armii i zyskał piękną karę na rozmaitych frontach, przetrzucając z jednego miejsca na drugie. Na koniec został spuszczone na spado-

*) SCOOP, a novel about journalists, tłum. Teresa Skórzyńska pt. DZIENNIKARZ Z PRZYPADKU, nakładem Katolickiego Ośrodku Wydawniczego „Veritas”, Londyn.

chronie do Jugosławii, jako oficer obserwacyjny przy gen. Tito.

W ciągu sześciu tygodni przymusowej izolacji napisał powieść na tle przeżyć wojennych pt. „Put out more Flags”, pełną, jak zwykle złośliwej ironii i zjadliwego humoru o tym specjalnym posnaku właściwym tylko Anglikom. Waugh jest mistrzem w tej dziedzinie.

Po roku 1945 powrócił do swej stałej pracy literackiej. Wydał wówczas „Brideshed Revisited” i „Helena”, gdzie szacunek dla osobowości ludzkiej i głęboka świadomość wszechobecności Boga są może najsilniej uwytkulone.

Zdaniem jego tylko wtedy pisarz dojdzie do doskonałości artystycznej, jeżeli tworzy w całkowitej zgodzie z prawem Bożym.

A oto modlitwa do Trzech Króli, którą znajdujemy w jednej z ostatnich ksiąg św. Ona to rzuca najwięcej światła na duszę nawróconego pisarza.

„Opóźnił się z przybyciem, podobnie jako i ja.

„Pastuszkowie wyprzedzili Was bardzo, a nawet ich trzody były tutaj wcześniej...”

„Droga Wasza bardzo wypracowana, pełna była kalkulacji i wahań, gdy pastuszkowie nadbiegli bco!

„Swę własnych oczach byliście ośmieleni swą egzotyczną podróżą i wyszukany mi darami.

„Nakoniec dotarliście!

„W nowym przymierzu miłości jest miejsce i dla Was: w oczach Świętej Rodziny nie posiadacie mniejszej wartości niż ościół i wół...”

Z RÓZWAŻAŃ NAD CHARAKTEREM NIEMIECKIM.

INTELEKTUALISTA NIEMIECKI DAWNIEJ I DZIŚ

Golo Mann, syn znanego pisarza niemieckiego Tomasza Manna, ogłosił w londyńskim „Encunter” interesujący w swę wgląd artykuł o intelektualistach niemieckich, wczorajszych i dzisiejszych.

Mann uwidatnia najpierw znany zresztą powszechnie fakt, że profesorem uniwersytetów stali niemal w szczytu piramidy społecznej Niemiec; w stosunku do nich pcyzja moralna i ekonomiczna intelektualistów, pisarzy, publicystów była czymś nieskonczenie niższym. Aby w Niemczech brano cziwiska poważnie, musi on mieć jakąś stanowisko publiczne, tytuł, czy rangę. Każdy „Studierrat”, to jest nauczyciel szkoły średniej, uważał się za coś wyższego od bardzo wybitnego nawet publicysty.

Profesor uniwersytetu był wysokim urzędnikiem państwa, przedtem zaś, do początków XX stulecia, urzędnikiem swego księcia; w dawnej Austrii miał bodaj rangę pułkownika armii cesarskiej. W historii swego kraju odgrywał do końca XVIII wieku rolę czołową, czego nie można powiedzieć o niezależnych publicystach. Kant w Prusach Wschodnich, później Schelling w Bawarii, Fichte w Berlinie, Hegel w Heidelbergu — wszyscy oni wywierali wpływ ogromny. Od tych czasów profesorem uniwersytetów zawsze byli przywódcami umysłowymi swego społeczeństwa. Byli wśród nich konserwatyści z późniejszego okresu metternichowskiego (Niebuhr, Ranke) liberaliści lat czterdziestych XIX stulecia (Uhland, Dahlmann, Droysen), bismarckowcy (Treitschke, Sybel), wilhelmowcy (Harnack, Willamowitz, Sombart), anty-wilhelmowcy (Max Weber, Friedrich Meinecke). Byli między nimi pełni siły prozaicy, byli także ludzie karykaturalnej chełpliwości i pompy.

W Wielkiej Brytanii i Francji profesorem uniwersytetu mieli rywali; wielcy powieściopisarze i wybitni literaci gorowali często swym wpływem i pozycją nad uczonymi. W Niemczech uniwersytet zazywał czegoś w rodzaju monopolu czcigodnej egzystencji intelektualnej. Pozycja profesorów uniwersyteckich ostatnio nieco osłabła, częścią dlatego, że nikomu nie zaimponowało stanowisko, jakie zajmowali za rządów Hitlera — głównie jednak w następstwie owego głębokiego i szerokiego procesu, który, w braku lepszego określenia, nazywać można amerykańską spoleczeństwa niemieckiego. Ale nawet jeszcze w roku 1954 ankietka publiczna dotycząca hierarchii różnych zawodów, wykazała niedwuznacznie, że u szczytu tej hierarchii stoi nadal profesor uniwersytetu — równocześnie zaś, że pcyzja pisarza jest niższa znaczenie w tej hierarchii od pozycji nauczyciela szkoły powszechnej.

Był kiedyś okres — stwierdza Mann — kiedy profesorem uniwersytetów zachowywali się buntowniczo wobec władz państwowych. Było to w czasie rewolucji 1848 roku, zwanej nie bez ra-

liwej pod wielu względami państwo. Ale państwo Bismarcka w jego późniejszych latach oraz Wilhelma II — w wielu dziedzinach nie było anachroniczne. Było ono wciąż autorytatywne i militarne, ale także mieszczańskie; nawet zorganizowani robotnicy rozprządzali poważnymi w nim wpływami politycznymi. Było to sprawne, potężne państwo z zamownym, nowoczesnym społeczeństwem. Równocześnie jednak — zdaniem Manna — państwo było głupie, cesarz śmieszny, stronnictwa, łącznie z opozycją socjalistyczną, biurokratyczne i skostniałe. W wyniku

rewolucji intelektualistów”. Liberalizm w tym czasie reprezentowany był głównie przez profesorów; łącznie z prawnikami było ich około 300 w frankfurckim zgromadzeniu narodowym. Ale cały ten ruch załoznie przegrał — i odtąd profesoremie przestali się interesować tym, jak powinno być urządzone społeczeństwo, i poświęcili swe wysiłki wykazrywaniu, dlaczego istniejący porządek rzeczy jest taki dobry. Hegel zatryumfował nad Kantem, a Bismarck nad Heglem.

Tymczasem jednak na widownię występuje nowa kategoria intelektual-

ist, z okresu Republiki Wejmarskiej — i stwierdza, że cechował ją „Babilon głosów”. I w tym okresie istniały dwa skrajne prądy: „zachodni” i „czysto niemiecki” — stara antynomia, występująca w Niemczech już od XVIII wieku.

„Człowiek Zachodu — pisze Mann — łatwo był uważany za wyrotowca, przedstawiciela wyłącznie negacji, społecznie nieprzetrzebnego, jeśli nie niebezpiecznego, za wytwór międzynarodowych moczarów. To samo mówiono o intelektualistach żydowskim — i w praktyce obu utożsamiano. Już około roku 1800 o krytykach literackich, nie będących Żydami, mówiono jako o „pośrednich Żydach”.

„Za tymi nonsensami — wywozdi Mann — ukrywa się ziarno prawdy. Wśród intelektualistów niemieckich typu zachodniego Żydzi stanowili wysoki osetek z ważnych powodów historycznych. Intelektualista zachodni, idąc za swym prototypem francuskim, opowiadał się za postępcem, demokracją, swobodną wiedzą, pozytywizmem, socjalizmem i tak dalej. Ten wielki prąd miał aspekty zarówno negatywne jak konstruktywne — i dlatego popierający go intelektualisci zwykli być słuźrzejie oskarżani o oba, — niekiedy zaś, zależnie od swego charakteru, bardziej o jeden z tych aspektów niż drugi.”

Mann w artykule swym nie zajmuje się głębszymi przyczynami dojścia Hitlera do władzy ani okresem jego rządów. Entuzjastycznie za to mówi o dzisiejszej Niemieckiej Republice Związkowej. Sądzono na ogół, że po roku 1945 powróży się historia lat po pierwszej wojnie światowej z wszystkimi ówczesnymi walkami i zmaganiem. Apokaliptycy wyciągali już ze swych szuflad rękopisy, ukryte tam od roku 1933, a przepowiadające upadek Zachodu, zniszczenie człowieka przez maszynę i tak dalej. Nikt nie był przygotowany na uzrzenie Niemiec Zachodnich takich, jakimi są dzisiaj; tego kraju niewiarogodnie pracowitego, gospodarczo kwitnącego, goniącego zarazem za przyjemnością. Najmniej spodziewali się tego intelektualisci; pozycje ich i funkcje uległy zmianie.

Słysz się ciągle skargi, że pisarz nie ma pozycji respektowanej przez społeczeństwa. Niemniej przed intelektualistą stoją rzliczne zajęcia: wszystkie te kongresy, dyskusje publiczne, szkoły wakacyjne, UNESCO, pojednanie francusko-niemieckie, Pan-Europa, stanowiska attachés kulturalnych, wycieczki do Ameryki, przede wszystkim zaś radio, ów niewyczerpany rynek słów. Ktoś, kto stoi ponad społeczeństwem, lub zewnątrz niego, prokrok czy cygan, może dojść do wniosku, że życie mu się nie opłaca. Ale człowiek, będący członkiem społeczeństwa konsumentów, może zdobyć rynek dla swych dóbr i usług — i wówczas może uczynić to, co każdy Niemiec lubi dziś czynić: ożenić się młodo, wynająć mieszkanie, kupić samochód, prowadzić regularne życie. Jeśli ma talent,

powstało coś w rodzaju rozwoju między Niemcami cesarskimi, z ich książętami, nadwornymi kaznodziejami, generalami, sędziami, przemysłowcami, oficjalnymi poetami, — a zyciem intelektualnym narodu.

Rozwód ten skończył się jednak nagle w sierpniu 1914 roku. Intelektualisci, wiodący amenciczne życie z dala od głównego prądu, wskoczyli teraz w pełne wody entuzjazmu narodowego. Biura wojny psychologicznej (nazwa ta jeszcze wówczas nie istniała) wchłonięły znaczną liczbę pisarzy i wytkadówców. Pojawił się sławny „manifest wojenny intelektualistów”, rozległy się bojowe krzyki profesorów i pieśni nawiści. Argumentowano koniecznością służenia wspólnocie narodowej — ale Wolter — pisze Mann — znalazłby więcej szalenstwa niż rzeczywistej pomocy w tej „trahison des clercs”.

Tak zwana rewolucja lat 1918-19 była bardziej załamaniem się, niż powstaniem. Stworzyła ona w dziedzinie władzy próżnię, w którą próbował wkraść różni politycy i wypelniał ją swymi ideami. Mann charakteryzuje następnie różne rodzaje intelektualistów

może pisać powieści o charakterze aktualnym, które mają szanse ukazania się w jednej z „Ilustrierte” i stania się „bestsellerami”; jest to jedyna droga do uzyskania przez powieść powodzenia. Można też pracować dla radia, w prasie, a przy dużym szczęściu i w filmach. W każdym razie jest to zawód taki, jak każdy inny, nie zawierający niczego szczególnie uroczyściego. Istnieją jeszcze ludzie, piszący nie z myślą o rynku, ale z potrzeby mówienia prawdy. Jest ich jednak niewiele i niewiele też mają czytelników; dobrze robione czasopismo — bardzo „highbrow”, używając znanego angielskiego określenia — jakim jest „Merkur” rozchodzi się w 3.000 egzemplarzy zaledwie. Znika dawna chłonna na te rzeczy publiczności.

Na ogół sytuacja intelektualisty niemieckiego staje się podobna do sytuacji jego amerykańskiego kolegi — z wyjątkiem kolegów, tych przytków amerykańskiego „highbrow”. Niemieckie szkoły średnie są prawie zupełnie izolowane od życia intelektualnego, tradycjonalistyczne i biurokratyczne. Uniwersytety są nieliczne, mają bardzo „ściśłą” organizację i wystrzegają się przedkładowania swych ciał profesor-skich.

Gdzie nie ma rynku dla Spenglera, zaden Spengler się nie pojawi. Procy zagłady milczą dzisiaj, podobnie ledwo słyszalni są przedstawiciele „konserwatywnej rewolucji”. Umilki też intelektualisci lewicowi. Odczynny konflikt między intelektualistami zachodnimi, a „czysto niemieckimi”, zdaniem Manna, zamarli, gdyż każdy jest dziś poniekąd pro-zachodni, a zarazem jest Niemcem do szpiku kości. Do przeszłości należą namietne polemiki okresu wejmarskiego, sensacyjne projekty oskarżenia. Spoleczeństwo Niemiec Adenauera ma znamiona normalności.

Symptomy te mogą ludzi nas — stwierdza w zakończeniu Mann — i nagle uderza w tony wyraźnie rewizjonistyczne. „Sama normalność — pisze — jest czymś niernormalnym, gdy się ją skonfrontuje z idyotyczną sytuacją Berlina, z zorą wschodnią, z granicą Odry i Nysy i wszystkimi potwornościami niedawnej jeszcze przeszłości. Gdy przypomni sobie Niemcy sprzed lat dziewięć lub jedenastu, terażniejszość wydaje się jakby wytworem sztuki czarnoksięskiej. Kraj ten sprawił nam niespodzianki w przeszłości — ncząc to uczynić ponownie.”

Nie można zaprawdę powiedzieć, by zakończeniu artykułu brako akcentów dumy narodowej i daleko idących nadziei.

S. N.

Z E Ś W I A T A KATOLICKIEGO

„Patrioci” usiłują poprawiać Watykan. Z początkiem bieżącego roku ukazał się jak corocznie w Watykanie oficjalny rocznik statystyczny Kościoła katolickiego na rok 1955 „Annuario Pontificio”. Ze względu na nieustalenie po ostatniej wojnie ostatecznych granic międzynarodowych pomiędzy Sowieciami a Polską, oraz pomiędzy Polską a Niemcami, Rocznik podaje diecezje polskie zagrabione przez Rcję sowiecką jako nadal należące do Polski, jak również archidiecezję wrocławską na ziemiach zachodnich jako formalnie przynależną jeszcze do niemieckiej organizacji kościelnej. Katolicy w Polsce zdają sobie sprawę z tego, że ostateczne ustalenie granic diecezjalnych jest związane z prawomocnymi umowami międzynarodowymi, decydującymi o przynależności państwowej danych terenów. Kardynał prymas August Hlond przeprowadził praktyczną reorganizację diecezji zachodnich, ustalając za zgodą Stolicy Apostolskiej tymczasowe administracje kościelne z polskimi administratorami i duchowieństwem. Reżym warszawski usunął administratorów apostolskich, a na ich miejsce narzucił proreżymowych wikariuszy kapitulnych. Równocześnie tzw. księża-patrioci zaczęli prowadzić ozywioną propagandę, domagając się od Episkopatu polskiego założenia na terenach zachodnich regularnych biskupstw z biskupami-ordynariuszami na czele.

Ukazanie się „Annuario Pontificio” na rok 1955 z zachowaniem dotychczasowego stanu rzeczy na ziemiach zachodnich wywołało gwałtowną reakcję wśród proreżymowych kapłanów. Wystosowali oni do Episkopatu Polski oficjalny list, żądający „sprostowania błędów redakcji „Annuario Pontificio”. List ten opublikowany w proreżymowym „Słowie Powszechnym” w dniu 20 maja jest dokumentem obrazującym stosunki kościelne w obecnej Polsce oraz wielce niewłaściwą akcję tak zwanych księży-patriotów, usurpujących sobie prawo wkroczenia w prerogatywy Stolicy Apolskiej i Episkopatu.

Oczywiście księża-patrioci nie piszą o tym, że „Annuario Pontificio” umieszcza nadal w Polsce archidiecezję lwowską (rzymsko-, grecko- i ormiańskokatolickie) z suffraganiami i archidiecezję wileńską z suffraganiami. Stolica Apostolska nie mieszając się w spory terytorialne między państwami ustala terytorialną organizację kościelną dopiero po zawarciu traktatów pokojowych.

MARYJNE SŁUCHOWISKO W BBC (Sekcja Polska) nadała w dniu 29 maja o godz 23, na falach: 224 i 232 słuchowisko maryjne Juliusza Leo pt. „Jak wzgórze Dadźboga w Jasną Górę się przemieniło”.

Do pierwszej Komunii Świętej OBRAZY PAMIĄTKOWE (dla chłopców lub dziewcząt) Cena 3/6 MSZALIK POLSKIEGO DZIECKA Cena 6/- Wyszła Katolicki Ośrodek Wydawniczy VERITAS 12, Praed Mews, London, W. 2.

BIBLIOTEKA POLSKA 12, Praed Mews, London, W. 2. KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY VERITAS W PRZEDPŁACIE NA CZERWIEC PROF. MARKA ST. KOROWICZA W POLSCE POD SOWIECKIM JARZMEM CENA sh. 9/- Po zamknięciu subskrypcji — sh. 15/-

NOWE KSIĄŻKI

„TWORZYWO”

W ubiegłym roku wyszło w samej Anglii dziewiętnaście tysięcy tytułów. Biedny angielski czytelnik; w takiej powodzi książek nie łatwo jest trafić na to właśnie dla siebie przeznaczoną, a przeczytać wszystko jest niemożliwością. Przypomina się biblioteka Puta z „Transatlantyku” Gombrowicza. Biedak Puto musiał sobie wynajmować ludzi do czytania nagromadzonych w niej książek, bo sam jako żywo, czytając nawet po parę dziennie, nie dałby rady.

Polska literatura jest, zwłaszcza na emigracji w „uprzywilejowanym” położeniu. Tak niewiele ukazują się książki, że nawet niewprawny czytelnik może je wszystkie w ciągu roku nie tylko przeczytać, ale i obcytać.

Dla nas, którym za całą ojczyznę pozostało nie wiele więcej niż język, szczególnie drogę powinno być „Tworzywo” Melchiora Wańkowiaka*. Na zubożałą naszą mowę, zachwaszczoną prymitywnymi przyzwyczajeniami z obcych języków, jego przebogata polszczyzna, utrzymana w ryzach prostoty w budowie zdań, podziela pokrzepiająco.

Nie wystarczy tu mówić o języku w liczbie pojedynczej, bo jest ich w tej książce parę. Inaczej mówiąc Gąsior spód zaboru anstrackiego, inaczej u licznik łódzki Klekot, jeszcze inaczej Mela spod Husiatyna i Bombik z Wrześni. Gdy się szyszy te wszystkie „jinzjorzy” czy „siyw”, to aż korci zbadać, co by na to powiedział językoznanca, prof. Nitsch. Może by dowiódł, że na rzecze takiej a takiej kończy się wymiana samogłosek tej na inną, ale jeżeli nawet językowo nie wszystko jest ściśle, to przecież miło jest słyszeć gwary z tyłu dzielnic Polski. Tak — słyszymy, bo w „Tworzywo” wcale przed wszystkim się słyszy, co ludzie nie znaczą, że się ich nie widzi jednocześnie, chociaż niekiedy ledwo, ledwo są naszkicowani.

„Tworzywo” opiewające losy zarobkowej emigracji dalekie jest od zabawności „Pana Balcera w Brazylji” i od scenicznej ludowości „Chłopów”.

Bene natus Wańkowiak porusza się między Gąsiorami, Klekotami i Pasikami jakby ich znał od dzieciństwa. Podpatruje ich kłopoty, ambicje, poglądy, przeczuwa reakcje, cduchy i gesty, pracowicie odzwierca ich życie, czy to w „log cabin”, czy na farmie kanadyjskiej, czy też jeszcze w czasach przedemigracyjnych w Polsce.

Nie zawsze wystarcza sama intuicja pisarza, toteż Wańkowiak chce otworzyć to życie, musiał nagromadzić przegromny materiał. Począwszy od narzedzi, poprzez ubiory, pożywienie, ekonomię (np. cena pszenicy w różnych latach w Kanadzie i ile koron kosztowało komorne czy krowa w takim to a takim roku pod zaborem austriackim), aż po wiedzę techniczną, ile bułki wysłał elewator na tyle to a tyle minut, po geografii i historię.

Nie więc dziwnego, że się w tym materiale pomieszczyć nie zdołał w ramach zakreślonych przez formę powieści. Wprost przeciwnie, dziwić się tylko można, że tyle materiału potrafił ubrać w formę nie tylko nie nużącą, ale tak pchłaniającą czytelnika, że spojrzawszy na ostatnią stronę 434

wzdycha: „ach szkoda, że to już koniec” i pyta, kiedy będzie drugi tom.

Ze książka ta, która mogłaby być traktatem socjologicznym, nie nuży, sprawa, prócz języka i powieściowych motywów, niezawodny humor Wańkowiaka. „Gąsiorowa monitowana przez syna, że ma użyć widelca, sumitowała się, że język sobie pokłuje.” Marysia z „za chlebem” wszystkim się przeważnie „dziwuje”. Gąsiorowa, godząca się z tym, że we w.e.kim śwecie jąda się takimi ostrymi narzędziami jak widelce, wżruszając swą pokorą wobec tego świata, równocześnie śmieje się na wrań obrona.

„Były tam srogie bałwany miotające okrętem o bardzo widac niedbalej załodze, bo zeglował w tę nawalnicę z wszystkimimi żaglami napiętymi. Nad tym wszystkim w trójkącie z kolorowych szkiełek zarzyło się oko Opatrzności.” Jest to opis witraża i jednym strzałem dwie kaczki zabite. Bo i witraż w całej pełni się widzi i dowieć wywołuje uśmiech. Humor Wańkowiaka jest przekarny i najbardziej mu się udaje, gdy chodzi o wielce uroczyste nastroje. Np. gdy ochotnicy z Ameryki w 1917 roku ruszają na wojnę w „białku mundurów i sztandarów, pod polską komendą z wizją...” itd., autor dodaje, że „Townfolk stał na przystani ustrójony na tę uroczystość w damskie kiecki i machała”. I znowu za jednym strzałem dwie zdobycze. Bo widzi się, i l u to ochotników ruszyło z miasteczka, a stwierdzenie, że p o z o s t a i y „Townfolk” stał na przystani itd., nadaje podniosłej chwili ciepło ludzkiego usniechu.

Lub w tragicznej chwili, gdy „pisarz stwierdził, że kapral Bombik, jest skreślony z listy jako zabity”, ofiara pomysłki biurokratycznej usiłuje dowiedzieć, że żyje, „co podoficera kancelaryjnego doprowadziło do szwajcarskiej pałki; chyba papiery lepiej wiedzą, co z tobą się dzieje niż ty sam, ofermo jedna”.

I tak co parę stron, a nieraz na każdej, autor zmusza czytelnika do uśmiechu, mimo że książka jest poważna, mówi o zmaganiach się ludzi pracy krwawi się krzywdą, krwią i śmiercią, zaczyna się pod zaborem i po przez pierwszą wojnę, różną dla różnych Niepodległości idzie ku zakończeniu, gdzie pod głosnikiem w Kanadzie spotykają się czterej emigranci, dla których w Polsce zabrakło chleba, by usłyszeć w mowie Hitlera: „Podjęliśmy przeciw Polsce wojnę zniszczenia”. A gdy się Kanadyjczyk dziwi tym Polakom, bo czy ta wojna „to ich biznes?” — „kapral Klekot wyprostował się: „Yes sir, oni myślą, że ich.”

Książka urywa się w miejscu, gdzie właśnie chciałoby się wiedzieć, gdzie i w jaki sposób Amerykanie polskiego pochodzenia spełnią swoją powinność wobec starej ojczyzny.

I jak po Sienkiewiczowskim „Bar wzięty” nastąpiły dalsze tomy trylogii, tak i po „Tworzywo” będą następne, tym bliższe czytelnikowi, że się sam otarł o tę historię, o której mówić będą.

Irena Hradyska

* Melchior Wańkowiak: **TWORZYWO**. Roy Publishers, Nowy Jork 1955. Stron 434.

PLASTYKA

MALARSTWO PILAWSKIEGO



WIEŚLAW PILAWSKI
Most na Hammersmith w Londynie.

Drugim europejskim centrum po Paryżu, jeśli chodzi o stan ilościowy malarzy polskich, staje się Londyn. Duża liczba naszych malarzy zdobywa sobie nazwisko w tutejszym polskim środowisku, wielu wśród swoich i obcych. Mamy więc w Londynie malarzy starzącego pokolenia i coraz bardziej rosnącą plejadę młodych, często nie mających jeszcze 40 lat, wieku, koło którego (scylyje większość czynnych obecnie przedstawicieli polskiego pedzia, pióra, sceny itd. W ubiegłym roku w dwu znanych galeriach londyńskich: „Wilton Gallery” i „The Royal Institute of Oil Painters” wystawił młody polski malarz Wiesław Pilawski. W „Wilton Gallery” (2 Motcombe St., Lewndes Sq., S.W.1), Pilawski miał samodzielnie wystawę obejmującą 50 obrazów, w tym olej, obówek, kredkę, zaś w „R. I. Galleries” (przy 195 Piccadilly, W. 1) — 4 obrazy olejne. Na życzenie redakcji ZYCIA zrobiliśmy wywiad z artystą. Wiesław Pilawski, przystojny blondyn, średniego wzrostu, o zwym usposobieniu i bardzo miłym sposobie bycia, nie jest postacią nieznaną. Czytelnikom ZYCIA, pisaliśmy bowiem o nim a raczej o jego wystawie w 1943 r. w „Royal Institute of Oil Painters”.

Wiesław Pilawski urodził się w r. 1916, w Polsce, gdzie po ukończeniu szkoły średniej, został studentem prawa. Wojna przerwała mu studia, przeszedł w czasie niej wiele aż wreszcie znalazł się w szeregach Armii Polskiej i lotnictwa. Zainteresowania malarzkie skierowały go do pracowni profesorów Wierusz-Kowalskiego i Kazimierza Kuleszy, gdzie studiował prywatnie. Oczywiście przed wojną, jako że w wrześniu 1939 r., skonczyło się i prawo, i malarstwo, i wolność dysponowania własną osobą.

W r. 1947 kończy karierę lotniczą i wstępuje na londyńską „Politechnikę”, przy Regent Street, gdzie studiuje sztukę piękne, będąc stypendystą Komitetu Oświaty. Studia kończy czterydzielnym dyplomem N.D.D. Jeszcze będąc na studiach wystawia swe obrazy, robi to do chwili obecnej i to z dużym powodzeniem. Obrazy się podobają, publiczność je kupuje, trafiają do najprawdziwszych zbiorów prywatnych. Wystawił m. in. w Imperial Institute, Leicester Galleries, R.B.A. Galleries, Whitechapel Art Gallery, National Society, Artists of Chelsea, Contemporary British Arts Society, Redfern Gallery i w innych czołowych londyńskich towarzystwach i prywatnych galeriach a także i na prowincji. Jeden z jego obrazów przedstawiający rozmodlony lud polski w kościele, objęzda całą Anglię w turze objazdowej kilkunasto-miesięcznej.

Ważnym wydarzeniem dla artysty była jego wystawa w r. 1952, kiedy to w Wilton Gallery brał udział w wystawie zbiorowej wręcz ze znanym artystą

Nigel Lambourne. Wystawa ta podniosła nazwisko Pilawskiego do rangi znanych malarzy i spotkała się z omówieniami wybitnych angielskich pisarzy i krytyków sztuki, m. in.: „The Connoisseur” i „Art News and Review”.

Rok 1954 przynosi samodzielną wystawę prac Pilawskiego, którą w kilku słowach omówimy. Obrazów było 50, pochodzących z lat 1949-1954, przeważającą większość jednak z r. 1953. Tematyka: krajobraz i postać ludzka. Artysta czerpie swe tematy z Londynu, w którym mieszka, oraz z Devonu i Kornwalii. Uprawia portret i maluje martwą naturę, przewagę ma olej. Pilawski na pierwszym planie stawia kolor i nim interpretuje naturę. Widac w jego obrazach związek z poważną tradycją malarstwa, kocha malarstwo francuskie i dzieła wielkich mistrzów, których jak nigdzie na świecie pełno jest w muzeach londyńskich. Londyn pod



WIEŚLAW PILAWSKI
Portret pani Jo

tym względem prześcignął, po ostatniej wojnie, Paryż — „mekkę” malarstwa do niedawna.

Głębia obrazów Pilawskiego jest urozczajająca i zdolność jej wydobycia jest jedną z najbardziej charakterystycznych cech artysty. Obraz jego są harmonijne i pełne nastroju. W portrecie „Pani Jo” potrafił zakłak duszę ludzką. Miałem możność poznać portretowaną panią i rzeczywiście obraz wyrażał ją w zupełności.

Na tle malarstwa angielskiego obraz Pilawskiego dają wrażenie pewnej egzotyki, co tłumaczy się pewnie jego polską osobowością. Elementy psychiki polskiej, przebijające się poprzez niewątpliwie silny wpływ szkoły angielskiej, sprawiają, że obrazy Wiesława Pilawskiego mają oryginalną wymowę, interesującą zarówno dla widza angielskiego jak i polskiego.

Pilawski jest jednym Polakiem w Royal Institute Oil Painters, którego członkami są także jego dawni profesorzy: Clifford Hall, Norman Blamey, Steward MacKay i inni.

Stefan Legeżyński

WIECZORY TEATRALNE

„Obrona Ksantypy”

Zaden z przedchrześcijańskich filozofów nie cieszył się w całej historii Kościoła takim szacunkiem i taką czcią jak Sokrates. Atenczyk, syn rzeźbiarza Sofroniskosa i poloznej Fenarety, urodzony w roku 469, a skazany na śmierć przez państwo w roku 599 przed Chrystusem. Dla wielu wybitnych teologów i pisarzy chrześcijańskich Sokrates był niemal chrześcijaninem, a w każdym „świętym poganskim” (św. Justyn, Atenagoras, Tacjan, Klemens Aleksandryjski, Orygenes), ba, Erazm z Rotterdamu modlił się: „Sancte Socrate!” Jedyny to z ludzi, który dostąpił zaszczytu porównywania go z Chrystusem Panem. Dominikanin francuski o. Th. Deman O. P. opracował w czasie ostatniej wojny książkę, niedawno przetłózoną na język polski i wydaną w Kraju „Auctoritate Ordinarii Varsaviensis”, w której poddał bardzo szczegółowej analizie wszystkie podobstwa i wszystkie różnice między Bogiem-Człowiekiem a największym z ludzi. „I może nie byłoby na świecie nic piękniejszego — konkluduje pisarz francuski — nad owe dzieła, w których genialny a miłujący uczeń ukazuje nam Sokratesa, gdyby nie istniała Ewangelia!”

Sokrates jest twórcą nowoczesnej filozofii, boć jego nauka, arystotelesowa, tkwi we wszystkich po dziś dzień istniejących systemach filozoficznych, albo przez afirmację albo przez negację. Dialektyczny materializm np. uważa idealizm sokratesko-platoński za początek wszelkiej filozofii „idealistycznej”. Św. Tomasz wziął niejedną myśl od Sokratesa. Ateński filozof, który nie pozostał po sobie ani jednego spisanego słowa, a którego naukę szczegółowo przekazał nam jego uczeń Platon, dodając do niej wiele idei własnych, jest twórcą metod poznawczych, eklektycznej i heurystycznej, twórcą etyki racjonalistycznej i związków metafizyki.

Trzy zwłaszcza punkty nauki Sokratesa można śmiało określić jako przedzające chrześcijaństwo: ideę sprawiedliwości, sumieria i duszy niesmiertelnej.

Nie dziwnego, że postać największego Ateńczyka i związane z nim legendy stały się do stuleci przedmiotem docieków naukowych i literackich fikcji. Humanistyka polska posiada ważny tytuł do stawy w dziedzinie sokratesko-platońskiej: profesor Wincenty Lutosławski ustalił, na podstawie styliometrii, od wieków sporną chronologię utworów Platona.

Jednym z licznych przejawów uwielbienia dla postaci ateńskiego filozofa w naszym kraju jest dramat Ludwika Hieronima Morstina (należy czytać: Morstynia) „Obrona Ksantypy”. Treścią sztuki jest życie domowe Sokratesa. O ostrym języku i gderliwości jego żony chodzila wieść po Atenach, niewątpliwie wyolbrzymiona, jeśli nie całkowicie sfabrykowana, przez potomnych.

Źródłem współczesnych o życiu i działalności Sokratesa przechowało się niewiele: „Memorabilia” Ksenofonta, sokrateskie dialogi Platona, to jest Obrona Sokratesa, Kriton, Uczta, Fedon, Teajet, Gorgiasz, prócz tego liczne ustępy w innych dialogach, wreszcie ustęp w „Metafizyce” Arystotelesa. Karykaturę Sokratesa pozostawił potomności Arystofanes w komedii „Chmury”. Z tych wszystkich źródeł dowiadujemy się o życiu rodzinnym filozofa tylko tyle, że był on ojcem trzech synów, że miłość i wierność małżeńską uważał za cnoty, od których zaley godność człowieka i że po wyroku skazującym go na śmierć pożegnał się z synami, lecz nie chciał zabaczyć po raz ostatni żony, w obawie — jak twierdzi Platon — przed jej lamentami i rozpaczą. W świetle świadectw umiowanego ucznia żadnej wątpliwości nie może budzić rezygnacja Sokratesa ze spotkania przed śmiercią żony. Kochał ją bodaj tak gorąco, że tylko jej też i placu się obawiał, aby nie okazać Atenom swego wżruszenia i miękkości serca. Lamenty zaś i rozpacz Ksantypy nie mogły w żadnym razie świadczyć o niczym innym, jak tylko o przywiązaniu i miłości do męża.

Otóż Morstin podjął „obronę” Ksantypy nie tyle przed współczesnymi, co przed potomnością. Powstała stał sztuka o problematyce i kolorycie raczej współczesnym, dramat konfliktu między życiem rodzinnym a publicznym, dramat niedocenionej miłości osobistej, dramat niewywołanej kobiety, odsuwanej od udziału w życiu umysłowym, dramat, na którym mży daleka poświata Ibsena. Mimo, że „Obrona Ksantypy” prawie cała jest zbudowana z wątków klasycznych, jest to jednak najoczywistiej dramat współczesny.

Lecz Morstin za bardzo jest rozmiłowany w świecie klasycznym, aby konsekwentnie przeprowadził w „Ksantypie” ideę dramatu współczesnego. To wahanie, ta niemoc, ten sentyment odbiły się wyraźnie na sztuce i ostatecznie „Obrona Ksantypy” stała się równocześnie nową wersją „Obrony Sokratesa”, dramatem współczesnym i obrazem historycznym. Morstin nie umiał podźwignąć narzuconego sobie zadania i wyreczył się, zresztą z wielkim gustem i umiejętnością, Platonem. „Obrona Ksantypy” mczna by dlatego określić jako przeróbkę dialogów platońskich na scenę. Najpiękniej, najmocniej i najprawdziwiej brzmią w sztuce słowa Platona. Poza tą platońską osnową, w sztuce Morstina nie ma istotnego dramatu. Ksantypa od pierwszego do ostatniego słowa jest wier-

na i kochającą żoną, zapatrzoną w męża jak w słońce, ośmioną w ostatniej scenie na nowo słowami z „Ucztę”.

Poza tym brakiem rdzenia dramatycznego sztuka Morstina jest dobrą robotą sceniczną. Wplóto do niej wytrawny autor różne wątki anegdotyczne (jak taniec Sokratesa, romans Charmidesa) i obyczajowe (scena ze sprzedawcą ceramiki, wykład Eryksymacha), rozsiał hojnie epigramaty i realia antyczne — wszystko to materialem pierwszej artystycznej próby. Mnęjszy jest talent satyryczno-komediowy Morstina i sceny oraz postaci tego gatunku zjawiają się w sztuce jako nurt o wiele płytszy.

„Obronę Ksantypy” wystawił „Teatr Nowy” w Londynie, zapisując to przedstawienie do kroniki szczytowych osiągnięć kulturalnych emigracji. Przede wszystkim dzięki reżyserii Leopolda Kielanowskiego. Od dawna dobrane wiadomo, jak doskonalą posiada Kielanowski znajomość sztuki scenicznej. Obecnie dowiódł, że jest świetnym znawcą kultury antycznej i teatru klasycznego. Był to teatr słowa. (Ekspresja mimiczna, obca była teatrowi klasycznemu z powodu masek.) Otóż „Obrona Ksantypy” w „Teatrze Nowym” była wystawą uczną słowem. Na niej położył główny nacisk reżyser, boć o to prosił się piękny tekst klasyczny, a cały zespół zagrał sztukę jakby jakas doskonałą symfonię słowem.

Ale i na gest, mianowicie gest oponowany, czysty, powściągliwy, zwrócił reżyser pełną uwagę. Wydobył także ze sztuki element taneczny. Oprócz ciekawie skomponowanego tańca Sokratesa, scena rozmowy pijanych niewolników potraktowana została niemal baletowo.

Byłoby niesprawiedliwością wymienić na pierwszym miejscu koresz z następujących trzech nazwisk: Ireney Kory Brzezinskiej, Stanisława Belskiego i Haliny Zelińskiej, gdyż wszyscy troje złożyli się w równej mierze na piękno tego przedstawienia: Brzezinska, prócz nieskazitelnej dykcji, wzięła w rolę Ksantypy jakby zbiorową skargę kości o wszystkich czasach, a ponadto ukliwść dojrzałej, pozostawiającej miłości.

Stanisław Belski zagrał chyba najlepszą rolę swojego życia. Był Sokratesem z rzezb greckich i z dialogów platońskich: w rubasznym cieple i zardrebanym stroju duch znieślającego ludzi mądrością, spokojną ironią i przenikliwym sądem. Może tylko zbyt często, zamiast w oczy ludzi, spoglądał w górę. Grecy nie patrzyli w niebiosa mówiąc o bogach. Ich bogowie zamieszkiwali Olimp, a także wieści, morze i podziemia. Bogowie greccy byli z tego świata. Firmament był dla starożytnych płaszczyną, sklepieniem ziemi. Tylko wróżbi patrzyli w niebo, aby śledzić lot ptaków. Bog Sokratesa, dajmonion, miał siedzibę w jego duszy.

Halina Zelińska ustawiła na scenie kawałek Hellady i pożyczyla ze starożytnych Aten kostiumów.

Cały zespół aktorski dał pokaz wzorowej gry: Adolf Bożyński wprost wykreślił postać niewolnika Tyreusza, Roman Ratschka w obu rolach: wieśniaka z Atyki i niewolnika narysowany miniaturo i wżruszającym wdziękiem maluczkich. Fedros, gdyby ożył, wyglądałby zapewne tak samo jak Bchdan Dolinski, a Stanisław Kozłowski, gdyby się urodził za Peryklesa, mógłby być jednym z Asklepiadów. Za Janiną Jasnąską gubiliby oczy tak samo Hellenowie jak polscy emigranci we współczesnym Londynie. Drugi mogli też podziwiać jej śmiałość, grę na scenie. Mniej wdzięcznie, raczej chybione dramatycznie role, obronę ręką zagrali: Klara Belska, Robert Hopen i Stanisław Wujastyk.

Nad emigracyjną sceną pojawiła się znowu jutrzienka nadziei.

J. B.

AKTUALNA BROSZURA

Jerzy Zdzichowski. **La coexistence en theorie et en pratique**. Paris, 1955.

Krótka ta broszura zawiera odczyt wygłoszony przez autora w lutym 1955 r. na zebraniu komisji Europy centralnej i wschodniej. Autor dowodzi w niej w sposób przekonujący, w oparciu o oświadczenia teoretyków komunizmu i publikacje sowieckie świeżej daty, jak wiele niebezpieczeństw i złudzeń kryje w sobie propagowane przez Moskwę hasło „pokojowego współistnienia”. Znaczenie, jakie przywiązuje do tego terminu polityka sowiecka, powinno rozwiać nadzieje na możliwość pokojowego układu stosunków między Wschodem i Zachodem, ale, niestety, tak nie jest: liczne koła zachodnie idą na lep fałszywej propagandy.

Hasło pokojowego współistnienia — mówi autor w konkluzji — przyniosło dotychczas korzyści tylko Związкови Sowieckiemu: pozwoliło mu ono uchodzić za oredownika pokoju, zmocniło obóz neutralistów, podniosło morale partii komunistycznej we Francji i Włoszech, osłabiło natomiast wiarę w Zachód milionów ludzi żyjących pod jarzmem sowieckim. Pokojowe współistnienie w sensie przypisywanym mu przez opinię zachodnią musiałoby zburzyć podstawy, na których się opiera dyktatura sowiecka. Dyktatura ta uzasadnia ucisk, nędzę społeczeństwa sowieckiego, oboczy pracy przymusowej i masowe czystki koniecznością obrony przed wrogiem zewnętrznym w postaci „kapitalistycznego okrężenia”. Gdyby upadł ten mit zagrożenia od zewnątrz, system rządów policyjnych straciłby rację bytu.

Ostatnie wydarzenia w dziedzinie polityki międzynarodowej przysłały tej treściwej broszurze aktualności.

NOTATKI KULTURALNE

TWÓRCZOŚĆ POLSKA WŚRÓD OBCYCH

CZARTORYSKI I JEDNOŚĆ EUROPEJSKA

Na półkach księgarń brytyjskich pojawiła się wydana w Stanach Zjednoczonych książka Mariana Kukiela „Czartoryski and European Unity”. Jako wydawca figuruje Princeton University Press w Princeton, New Jersey. Obok karty tytułowej zaznaczono, że książka ta ukazuje się w ramach podjętej przez Fundację Kościuszkowską Serii Tysiąclecia Polski (Poland's Millennium Series of the Kosciuszko Foundation). Książka wyposażona w bardzo estetyczną szalę zewnętrzną, liczy stron XVIII i 354. Na obszarze Wielkiej Brytanii rozprowadzeniem jej zajmuje się Geoffrey Cumberlege, Oxford University Press. Cena brytyjska 48 szylingów, amerykańska 6 dolarów.

Wewnątrz książki znalazły się reprodukcje trzech portretów Adama Czartoryskiego. Jako młodego dyplomata malował go J. Abel w roku 1798; twarz męża stanu wizera z portretu de Antoniego, wykonanego w r. 1831. Świeta jest trzeci z kolei z portretów pedzła Delaroché'a z roku mniej więcej 1850, kiedy Czartoryski liczył już lat osiemdziesiąt.

Dzieli wybitnego historyka powieściem w ZYCIO osobne omówienie.

WYDAWNICTWA SŁAWISTYCZNE

W HADZE. Dostyc niespodziewanie Holandia wysunęła się bodaj na pierwsze miejsce wśród krajów, wydających obszerniejsze, tomowe opracowania z zakresu slawistyki. Opracowania te ukazują się w języku angielskim w ramach serii „Slavistic Printings and Reprintings” pod redakcją Corneliusa H. Van Schoonevelde, profesora filologii bałtyckiej i słowiańskiej na uniwersytecie w Lejdzie. Wydawcą jest znana firma N. V. Mouton & Co w Hadze.

Wyszły do tej pory trzy tomy tej serii, wśród nich dwa dotyczące literatu-

POEZJE RADZYMIŃSKIEJ PO HISPZPANSKU

W Buenos Aires, w zbiorze „Papel de Poesia” ukazał się tomik wierszy Józely Radzyminskiej w tłumaczeniu na język hiszpański, dokonanych przez Otokara Jawrowera. Tytuł hiszpański zbioru brzmi: „Amapola Purpurea”. Przedmowę, nacechowaną wielką sympatią dla Polski, napisał poeta amerykański Jesus Flores Aguirre.

MURZYN Z ZAŁOGI »NARCYZA« NA FALACH RADIOWYCH

Wśród słuchowisk radiowych BBC od czasu do czasu znajdujemy także przeróbki powieści i opowiadań Conrada-Korzeniowskiego. Najbardziej ambitnym w tej dziedzinie przedsięwzięciem była przeróbka radiowa „Tajnego agenta”. Przyszła obecnie kolej na „Murzyna z załogi »Narcyzą«” — jedno z wczesnych, świetnych opowiadań Conrada, które znane było w Polsce przed wojną w tłumaczeniu Jana Lemańskiego. Słuchowisko radiowe, oparte na „Murzynie z załogi »Narcyzą«”, opracował Dick Cross. Wzięło w nim udział 23 aktorów, m. in. Patrick McAllinney, występujący obecnie w sztuce Thorntona Wildera „The Matchmaker”.

Słuchowisko nadawane było w poniedziałek dnia 6 czerwca na fali Home Service.

TADEUSZ KĘSIK

Modlitwa Pisarza

Wypędź zgiełk z moich słów,
Chryste!
Daj im ciszę, treść pełni
I brzmienie czyste.

Zrób z nich dla siebie
Najdoskonalszą chwałę,
Teraz i zawsze,
Na wieki cale.

W kształt serca je przemieni,
W kształt serca i krzyża.
Niech moja miłość i wiara
Nadzieję innym przybliży.

Unieś je lotem w niebo
Mlecznosrebrną rybitwą.
Najprostszą,
Najpokorniejszą,
Najgorętszą modlitwą.

A potem strąć je na ziemię,
Przeistoczyć w ciepłą ulewę,
Lub rzucić jak złote ziarna
W świeżo zoraną glebę.

Może się w żniwo obroć
I może stanąć w chlebem
Rodzawanym garściami
Tu, między ziemią a niebem. Amen.

(z tomu „Czas odkupiony”)

ZYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 19 czerwca 1955.

NASZE SPRAWY

O CZYSTOŚĆ POLSZCZYZNY

Przebywając na emigracji jesteśmy z natury rzeczy odcięci od kontaktu z żywym źródłem polszczyzny, jakim jest mowa potoczna szerokiej masy narodu, toteż narażeni jesteśmy na zubożenie polskiego języka w naszych ustach, oraz — co gorsza — na zachwianie nie go obcymi naleciałościami, które go zniekształcają i niszczą. Toteż jest rzeczą naturalną, iż problem czystości mowy ojczystej i problem jej świadomego pielęgnowania jest stałą naszą troską, wypełniającą nasze myśli, nasze rozmowy i łamy naszej prasy. Wiele już na ten temat powiedziano — także i na łamach ZYCIA. Ale jest to temat niewyczerpany. Chciałbym parę uwag dziś w tej kwestii dorzucić.

W trosce o czystość polszczyzny zachować musimy właściwą postawę między dwiema tendencjami skrajnymi, z których jedną jest brak tej troski, a więc pozwalanie na to, by język polski, tak wszak piękny, bogaty, zwarty, lapidarny, mocny, giętki stawał się w naszych ustach niechlujnym i zwyrodniałym żargonem, a druga, doktrynerska i prymitywna wyobraźnia sobie, że czystość języka polega na kompletnym uwniesieniu go od jakiegokolwiek obcych wpływów i sprowadzenia go do prądozłotych słowianisk bez jakiegokolwiek niesłowiańskiej przymieszki. Musimy także pamiętać, że czystość języka, to nie jest tylko obronienie jego słownika przed obcymi wyrazami, ale to jest także obronienie jego gramatyki i składni przed wpływem obcych sposobów formułowania myśli.

Co to jest czystość polskiego języka? Co to jest zresztą czystość jakiegokolwiek języka w ogóle? — Jest to utrzymanie danego języka, będącego zresztą zjawiskiem żywym, wciąż się rozwijającym i wciąż ewoluującym, utrzymanie go w takiej postaci, jaka jest owocem jego dziejowego rozwoju i jego tradycji kulturalnej. Język polski — to język polskiego narodu, uformowany przez tysiąc lat polskiej historii, w którym, jak w zwierciadle się ta tysiącletnia historia odbija. Punktem wyjścia rozwoju polszczyzny były narzecz słowiańskie, jakimi tysiąc lat temu mówiono nad Wartą, Wisłą i Odrą, ale to był tylko punkt wyjścia. Naród polski nie żył przez ten tysiąc lat odizolowany i zamknięty w sobie jak ślimak w skorupie, ale uczestniczył w życiu cywilizacji europejskiej i świata chrześcijańskiego — i dzięki temu wchłonił wiele twórczych pierwiastków niesłowiańskich, przede wszystkim łacińskich. Tylko bardzo prymitywni ludzie mogą sobie wyobrazić, że możemy powrócić do kompletnej czystości prasłowiańskiej — o ile taka kiedykolwiek była, bo wszak i w czasach przeddziejowych mowa słowiańska ulegała obcym wpływom. Nie usuniemy z naszej mowy pierwiastków łacińskich, tak jak nie usuniemy z naszej kultury Kadhuka czy Długosza, czy Kopernika, czy Pawła Włodkowica, którzy wszak pisali nie po polsku, lecz po łacinie, uważając łacinę za ówczesny nasz narodowy język literacki. Tylko Niemcy, ze swoją prymitywną ideologią czystości rasy germańskiej, mogą sobie wyobrazić, że zerwać wszelkie węzły z niemiecką Europą przez „czyszczenie” swego słownika, polegając na usunięciu wyrazów łacińskich i greckich i zastąpieniu ich germańskimi neologizmami (np. Fernsprecher zamiast Telefon, albo Rechtsanwalt zamiast Advokat). Niemcy i — niektóre narody duchowo najbardziej zgermanizowane. Dążenia do czystości języka, o ile doprowadzone do przesady, są absurdem. Jak dalece są one absurdem, widać najlepiej po języku angielskim: coby się stało z tym językiem, gdyby chciano przywrócić go do pierwotnej, staroangielskiej czystości i usunąć z niego wszystkie pierwiastki łacińskie i francuskie! A przecież Anglijcy mieliby więcej uczuciowego uzasadnienia niż Niemcy do przeprowadzenia takiej operacji, bo bądź co bądź naleciałości francuskie w angielszczyźnie są rezultatem najazdu i długich wieków ucisku.

Język polski jest owocem tysiąca lat dziejowego rozwoju, w ciągu którego prymitywne tworzywo prasłowiańskie przekształciło się i rozwinęło, pod wpływem doborczości i bez przymusu przyjętej cywilizacji łacińskiej, we wspólny i bogaty język nowożytny, mający strukturę, urobioną na modłę łacińską. Łaciność naszego języka do bzie widać, gdy przyjrzymy się naszej składni. Na przykład, mówimy „ulica Marszałkowska” i „aleje Ujazdowskie” — i gdybyśmy chcieli mówić „Marszałkowska ulica”, byłoby to zupełnie nie po polsku. Ten sztyk rzeczowników i przymiotników jest zupełnie łaciński. Tak samo się mówi po łacinie (Via Appia), po włosku (Piazza Colonna), po francusku (rue Royale), po hiszpańsku (Calle de Alcalá), po portugalsku (Avenida Copacabana), nawet po rumuńsku (Calea Ahtoriei). Natomiast języki germańskie i wszystkie języki pod wpływem języków germańskich uformowane, mają sztyk odwrotny: język niemiecki (Langstrasse), angielski (Oxford Street), szwedzki (Drottninggatan), duński (Amalegade), holenderski (Nieuwe straat), czeski (Vlašské náměstí), rosyjski (Krasnaja ulica), węgierski (Andrassy utca). Tak samo mówimy: Morze Bałtyckie, Rzeczpospolita Polska, Gazeta Niedzielną, prawo kanczyńskie, choć wszystkie tamte języki mają sztyk odwrotny.

Struktura gramatyczna i składniowa języka jest rzeczą ważniejszą od słownika. Dlatego, ten, kto mówi z niemiecką „szukam za czymś” zamiast „szukam czegoś”, popełnia błąd jaskrawszy i bardziej nie do darowania, niż ten, kto mówi: „napić się „sznapsa” i zagryc go „wurszten”.

Jakż z tego wszystkiego wniosek? Po pierwsze — że musimy bardzo pilnie strzec poprawności naszej gramatyki i składni. Musimy tym bardziej, ponieważ mieszkamy w kraju o mowie pochodzenia germańskiego, a więc narażeni jesteśmy na wpływy pokrewne niemieckim, najbardziej dla naszej mowy destrukcyjnym. Po wtóre — nie możemy przesadzać w rugowaniu wpływów łacińskich w naszym słowniku (choć oczywiście wpływy neo-słowiańskie, np. francuskie, nie mogą być tolerowane, jeśli przekraczają rozsądną miarę i zmieniają się w niepotrzebny makaronizm), natomiast musimy bezwarunkowo obronić nasz słownik przed (dopuszczalnymi tylko w wyjątkowych wypadkach) naleciałościami niemieckimi i angielskimi.

Nie możemy zachwyczać naszej mowy obcymi wyrazami. Nie możemy mówić „underground” zamiast „kolejka podziemna”, „bus” zamiast „autobus”, czy „quacker cats” zamiast „plutki owiane”. Ale to jeszcze nie wszystko. Musimy myśleć nasze formułowanie po polsku, musimy przechowywać czystość i poprawność polskiej gramatyki i składni. W przeciwnym razie — gdy wrócimy do Polski, będą na nas patrzeć jak na cudzoziemców.

Jakż z czystości polszczyzny zachować? Przede wszystkim — stałym uprawianiem dobrej, polskiej lektury, częstym czytaniem „Pana Tadeusza”, „Trylogii”, „Biblii” księdza Wujka, wreszcie dobrej polskiej prozy nowożytnej. A po za tym — troską o mówienie poprawne, starannym pielęgnowaniem języka w potocznej mowie, unikaniem mowy niedbalej, unikaniem form błędnych, choćby nawet traktowanych jako żart.

Jesteśmy zagrożeni, jeśli nie wynarodowieniem, to w każdym razie rozluźnieniem naszych związków z polszczyzną. Musimy więc być — czujni.

POLONUS

CZY PRENUMERUJESZ

STALE KSIĄŻKI

„BIBLIOTEKI POLSKIEJ”

Wielce Szanowny Panie Redaktorze! Miejszem, gdzie aktor powinien się wypowiadać jest scena a nie prasa; dlatego też uważam, iż aktor, nawet amator, nie powinien zabierać głosu w polemice z krytykiem. Lecz, kiedy krytyk ogranicza recenzję sztuki do silnie emocjonalnego — a więc wykluczającego już tym samym obiektywizm — ataku na reżysera, starając się oprócz tego zmiążyć całokształt działalności przedmiotu swej krytyki i kiedy zaczyna stawiać zarzuty nie stworzonym postaciom, ale samym aktorom, sądzę, że nie można brać wtedy za złe odruchów samoobrony ze strony poszkodowanej.

Nie wiem, ile z nadestanych listów w sprawie recenzji z przedstawienia Grupy „Pro Arte” było napisanych przez członków naszej Grupy. Chciałbym jednak zaznaczyć, że ci członkowie, którzy pisali do Pana w tej sprawie, czynili to jako osoby prywatne a nie z ramienia Grupy „Pro Arte”.

Może Pan być pewien, iż zawsze cniejnie przyjmujemy krytykę „łagodną albo ostrą, sprawiedliwą czy nawet niesprawiedliwą”; ale ze swej strony możemy chyba też oczekiwać, by ta krytyka była rzeczowa i traktowała o sprawach bardziej istotnych niż nalepi ki na butelkach z alkoholem.

Jesteśmy też w zupełności przygotowani ponieść konsekwencje własnych błędów i faryzejskie uśmiechy z którymi ktoś nas poklepie po ramieniu i pociesza iż „pokazaliśmy tylko to, co nas nauczone”, nie mogą liczyć u nas na dobre przyjęcie.

Z drugiej strony, nie można jednak oczekiwać, byśmy słuchali z nabożeństwem osobistych przytyków. I tak na przykład w mniemaniu Grupy „Pro Arte” kolega T. Kozłowski wcale nie jest „leniem skonczone”; gdyby nim był, na pewno nie zostałby obdarzony funkcją wiceprezesa.

Chciałbym dodać jeszcze kilka ogólnych uwag o Grupie „Pro Arte”. Grupa ta — licząca obecnie 36 osób — powstała nie całe dwa lata temu i rozwija się przede wszystkim dzięki ofiarnej i fachowej pracy Pani O. Zeromskiej i dzięki poparciu Koła SPK nr 30. Sekcja Dramatyczna (istniejąca również Sekcja Plastyczna, która wykonuje wszystkie dekoracje dla występów dramatycznych; w studium organizacyjnym jest Sekcja Literacka) zadebiutowała rok temu, wystawiając cztery jednoaktówki: „Świeczka zgasa” Fredry, „Tak, albo nie” Musseta, „Cienie wąwozu” Singa oraz „Willa na sprzedaż” S. Guity. (Serdeczna recenzja umieszczona w Pańskim poczytnym piśmie, właśnie po tym debiucie, zachęcała nas do wytrwania przy ambitnym programie).

Następny większym występem był właśnie ten szeroko dyskutowany wieczór Konradowski. W międzyczasie Grupa zorganizowała część artystyczną akademii w rocznicę bitwy pod Arnhem oraz wystąpiła w Teatrze Sztuk Czytanych Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, czytając sztukę „Towarzysz Październik” K. Wierzyńskiego. Ostatnim występem był wystawienie „Pana Beneta” Fredry na akademii 3-cio majowej w Westminster Cathedral Hall.

W najbliższej przyszłości urządzamy Wieczór Sztuk Czytanych (po jednym akcie z trzech współczesnych sztuk krajowych) a na jesień przygotowujemy „Przedziwną Szwecję” G. Lorki oraz „Bal złodziei” Anouilha.

Proszę przyjąć wyrazy głębokiego szacunku

S. B. Nowodworski

prezes Grupy „Pro Arte”

—

Szanowny Panie Redaktorze!

Zachęcony Pana notatką redakcyjną w nrze 20 ZYCIA „W sprawie recenzji z przedstawienia Grupy „Pro arte”, zabieram po raz pierwszy głos w sprawie recenzji p. J(ana) B(ielato)wicz(a), która ukazała się w nr. 16 tegoż pisma. Tytułu do wypowiedzenia się na ten temat dopatruje się nie tylko w fakcie, że byłem widzem nie jednego, lecz trzech przedstawień „Frei” i „Jutra” ani wyłącznie w moich — skromnych i na pewno niedostatecznie ugruntowanych specjalnymi studiami — uzdolnieniach krytycznych, dzięki którym już przed wojną powierzano mi pisanie recenzji teatralnych w jednym z dzienników warszawskich. Ważniejsze jest, że jako członek Klubu Miłośników Konrada brałem przed parą laty udział w szczegółowych dyskusjach nad powstałą wówczas przeróbką „Frei z Siedmiu Wysp” Olgi Zeromskiej (również członkini Klubu) i nad przekładem „Jutra” Wojciecha Gnatczyńskiego. Ponadto tak się złożyło, że od pierwszych dni powstania Grupy „Pro arte” obserwowałem pilnie jej prace i — na zaproszenie samej młodzieży i jej kierowniczki — uczestniczyłem nie tylko w próbach, ale także w dyskusjach zasadniczych o celach Grupy i jej repertuarze. Sądzę, że te wszystkie względy dają mi pełne prawo skorzystania z Pana zaproszenia do dyskusji, a nawet stwarzają obowiązek, bo młodzież, która korzystała z moich rad, może się spodziewać mego głosu w tej sprawie. Nie zamierzam podejmować szczegółowej polemiki z recenzją p. J. Biela-

Listy do Redakcji

O GRUPIE „PRO ARTE”

towicza, zwłaszcza, że własne stanowisko w sprawie działalności „Pro arte” sprecyzuję w innym miejscu i czasie. Pragnę jednak wyrazić przypuszczenie, że recenzja ta zapewne przesłabła bez przykrych ech, gdyby nie jej ton. Ten ton raz i raz: jest to niechęć i niechęć ironiczna i nieprzychylna dla kierowniczki artystycznej Grupy i — co gorsza — dla samej młodzieży. Ocen rzeczowo-krytycznych jest w tej pracy niewiele i dlatego trudno z nią walczyć. Bo co można przeciwstawić twierdzeniu, że dla Klubu Miłośników Konrada było małym zaszczytem (a więc prawie dyshonorem) podpisanie afisza o wystawianiu utworów Konrada przez „Pro arte”? Albo ogólnikowo (czyli apodyktycznie) twierdzeniu, że Olga Zeromska do dialogów Konrada w „Frei” dodała swoje „własne koncepcje dość wpatliwej wartości artystycznej”? Czy mam powiedzieć, że Klub Miłośników Konrada od paru lat marzył o wystawieniu „Frei” i na pewno nie delegowałby swego założyciela dr. Witę Tarnawskiego do zabrania głosu na premierze (czego ten nie mógł uczynić jedynie z powodu choroby), gdyby nie przywiązywał dużej wagi do realizacji tego zamiaru? Czy mam przypominać, że każda przeróbka utworu prozaicznego, na scenę połączona przede wszystkim na wyłuskanie oryginalnych dialogów i że krytyk, jeśli twierdzi, że dodatki do tych dialogów nie są udatne, to powinien podać, na czym polegały błędy adaptatora? Czy mam twierdzić, że przeróbka Olgi Zeromskiej jest doskonałością i w tak naturalny sposób bronić jej przed niesprecyzowanymi zarzutami? Bo przecież polajankę Pana Bielatowicza na temat przekleństw Heemskirka nie mogę brać poważnie, skoro — jak mi jest wiadomo z dyskusji klubowych — te właśnie przekleństwa sugerował autentyczny komandor polskiej marynarki jako typowe dla polskiej braci marynarskiej. Nie, wołę zrezygnować z walki z cieniarni i w zamiar zastąpić p. J. Bielatowicza w ściślejszym określeniu, jaki błąd popełniono w przeróbce „Frei” Zeromskiej ma tę wadę, że „Freja” Zeromskiej — jej zwarze jest o wiele dłuższy w pierwszym akcie, które, na szczęście, bardzo łatwo usunąć. Pca tym sztuka zbudowana jest dobrze i ciekawie. Adaptator sztuki wydobyla główne spicje dramatu: konflikty między egoistycznym realizmem Frei a idealizującym realizmem romantycznym Jaspersa. Wbrew temu co pisze p. J. B. postać Nelsona uważam za drugoplanową, w czym zgadzam się z wielką miłośniczką i znawczynią Cnrada Marią Dąbrowską.

Pomijając jednak subtelności interpretacyjne (bo Conrad jako wielki pisarz może i musi być widziany i odczuwany pod wieloma kątami i w różny sposób) jestem najbardziej przekonany, że w zestawieniu z wieloma innymi przeróbkami utworów Cnrada „Freja” Zeromskiej wychodzi obronnie. Autorka z całą sumiennością poddała tę przeróbkę obszernemu dyskusjom w łonie Klubu Miłośników Konrada, uwzględniła wiele sugestii specjalistów i w rezultacie jej praca nie zasłużyła na takie potraktowanie jak to uczynił p. J. Bielatowicz. Ocena jej pracy może być kontrowersyjna, ale autorce z pewnością należało się rzeczowe sformułowanie zarzutów, a nie złośliwości w rodzaju przymiotnikowe-

go kwalifikowania jej pióra jako „mniej świetnego” lub pogardliwe wzruszenie ramionami z wysokości stałego stolca w redakcji („trudno... wymagać jeszcze jakiejś koncepcji reżyserkiej”). Osobiście zgadzam się z rezydentem „Ostatnich Wiadomości”, że przeróbka Zeromskiej jest bardzo zreżna. Niestety, przedstawienie premierowe wykazywało spore błędy techniczne i zahamowania aktorskie. Ale obowiązkiem krytyka jest odróżnienie tych przypadkowych zjawisk (zdarzających się nawet najlepszym reżyserom i największym teatrom: vide słynne skandale na premierach Leona Schillera) od głównego nurtu sztuki i przedstawienia. Ten nurt ujawnił się zaraz w następnych przedstawieniach „Frei” i „Jutra”, gdy aktorzy przezwyciężyli trzęsą, a zespół techniczny opanował zmiany (czyli przejścia z obrazu do obrazu).

Takie same i gorsze złośliwości spotkały ze strony Pańskiego recenzenta młodzież (Heemskirk — „len skonczone” lub „zmarłych”; Gorniakówna — „śmieje się jak pozytywka nakręcona na jeden piskiwy ton”; Schultz — „ni te życie ni to beczka”). Zawsze byłem przeciwny takiej impresjonistycznej i apodyktycznej krytyce. Nie wątpię, że tego rodzaju metod nie może pochwalac i sam Pan Redaktor, gdyż nie przypominają one w niczym spokój i umiar s. p. profesora Bcrowskiego, którego pamięć czcimy obydwa. W sumie nie można się dziwić, że ton, po prostu ton krytyki p. J. B. spowodował protesty — być może zbyt gwałtowne (jak Pan pisze pełne inewekty), ale przynajmniej w części usprawiedliwione równie gwałtownym wylewem złego humoru Pańskiego współpracownika (przynożone przykłady plus ironiczna uwaga o oklaskach za samo stanięcie tej młodzieży na rampie — chyba uzasadniają takie określenie jego artykułu).

Nie potrzebuję przekonywać chyba Pana Redaktora, że tego rodzaju wystąpienie nie może być nazwane pedagogicznym. Oczywiście nie chodzi mi o p. Zeromską, która dość dawno pracuje w teatrze, aby wiedzieć jak i co myśleć o różnych rodzajach recenzji. Zresztą — choć nie jestem pedagogiem — moje doświadczenie krytyczne przekonało mnie, że ludzie teatru (a tym bardziej młodzi adepci) znoszą dobrze każdą krytykę i nieraz potrafia z niej skorzystać — pod warunkiem że jest rzeczowa. (Nie jest tajemnicą, że moja przyjazna i obfita współpraca literacko-publicystyczna z Olgą Zeromską zaczęła się od surowego — ale rzeczowego! — skrytykowania przez mnie niektórych jej ówczesnych metod recytacyjnych, przed pięciu laty na łamach „Orla Białego”). Czego boi się każdy artysta, czy kandydat na artystę teatralnego — to ironii, złośliwości i sumarycznych polajanek. A tego wszystkiego nie pożałował p. Bielatowicz ani Grupie ani jej kierowniczce. Na tym koncze moja „krytyka krytyki” p. J. B., którego talent publicystyczny cenę zbył wysoko, bym mógł sobie pozwolić na ogólniki lub niedopowiedzenia w tej konkretnej sprawie, w której nie mogę się z nimi zgodzić.

pozostaje jeszcze sprawa innych osiągnięć Grupy „Pro arte”, jej charakteru i repertuaru. Nie jest przypadkiem, że organizacja ta nazwała się Grupą i to grupą „Pro arte”. Jej po-

mysl, organizacja i zamierzenia nie opierają się na wzorach teatrów amatorskich, lecz na analogiach z działalnością amerykańskich teatrów zarobkowych — tzw. „University Theatres”, „Little Theatres” i „Community Theatres”. Interesujących się bliżej tematem odsyłam do bogatej literatury przedmiotu, którą znaleźć można w każdej lepszej bibliotece publicznej. Tu tylko przypomnę, że ruch tych „małych teatrów” powstał w Stanach Zjednoczonych w początku lat dwudziestych naszego wieku jako reakcja na skomercjalizowanie teatru zawodowego. Dział ruch ten może się poszczycić (około tysiącem teatrów tego rodzaju — od miasteczka aż do wpływowych i nawet posiadających własne gmachy.

Grupy tego rodzaju różnią się od sporadycznych i płynnych zespołów amatorskich obowiązkiem posiadania kierownictwa osoby wykształconej zawodowo, stałością i dyscypliną pracy zespołowej (nie opartej na tzw. hobby, lecz na głębszym przeżyciu artystycznym), stałym dążeniem do kształcenia się (także teoretycznego) i ponad wszystko ambitnym repertuarem. W świetle tych zasad proponowane Grupy „Pro Arte” grania Anzczyca (i to po wystawieniu serdecznie pochwalonych przez ZYCIE sztuk Musseta, Synge’a i dwóch jednoaktówek Fredry, z którego druga — „Pan Benet” wykała dalszy postęp w rozwoju aktorów i w doskonałym reżyserii) — jest grubym nieporozumieniem.

Chociaż być może będą się w tym różnił z Panem Redaktorem, który zdaje się być zwolennikiem „rozwoju organicznego”, czyli ideału małych ambicji, uważam, że nie jest to droga właściwa, gdy chodzi o ten typ pracy, zwłaszcza z autentyczną młodzieżą, która, aby coś osiągnąć, musi sięgnąć wysoko. Zresztą nie bez powodu w doskonałej sztuce szkolnej — Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej — zaczynaano od Wyspiańskiego (I rok studiów) i dopiero na drugim grano Fredry.

Potwierdzenie poglądu o słuszności czysto artystycznego i ambitnego repertuaru znalazłem parę dni temu w nuncie jednego z najwybitniejszych dramaturgów polskich (nazwiska nie podaję do druku ze względów zrozumiałości), który udzielał mi wyłączenia na swoje sztuki wyraża wielką radość, że jedną z nich zagra „Pro arte” — właśnie obok sztuk Conrada, Musseta, czy Synge’a.

Nazwa „Pro arte” obowiązuje. Mam nadzieję, że grupa o tej nazwie zostanie jej wierna. Cieszę się, że w tej chwili zaczęła próby nad „Przedziwną szwecją” Garcii Lorca, że — w miarę postępów w swej pracy artystycznej — zrealizuje Anouilha, Claudela, Mikolaję z Wilkowicka, a nawet Słowackiego. Mam nadzieję, że do czasu wystawienia „Złotej czaszki” ta ofiarna i pełna zapалу grupa młodych pionierów opamięta nie zawinicie przez siebie trudności w polskiej wymowie, które tak ostro — rzekłbym nielitościwie — wytkomiał m. p. J. Bielatowicz zapominając widocznie, że większość członków „Pro arte” konczyła uniwersytety angielskie i na codzień musi używać angielskiego języka.

Proszę mi wybaczyć, Szanowny Panie Redaktorze, że zajęłem sporo miejsca w Pańskim Cennym Piśmie. Wydaje mi się jednak, że sprawa zasługuje na rzeczowe i spokojne omówienie w organie Veritasa, który wydaje także pismo dla młodzieży.

Z wyrazami szacunku

Janusz Jasińczyk

—

Szanowny Panie Redaktorze!

Zachęcony Pana notatką redakcyjną w nrze 20 ZYCIA „W sprawie recenzji z przedstawienia Grupy „Pro arte”, zabieram po raz pierwszy głos w sprawie recenzji p. J(ana) B(ielato)wicz(a), która ukazała się w nr. 16 tegoż pisma. Tytułu do wypowiedzenia się na ten temat dopatruje się nie tylko w fakcie, że byłem widzem nie jednego, lecz trzech przedstawień „Frei” i „Jutra” ani wyłącznie w moich — skromnych i na pewno niedostatecznie ugruntowanych specjalnymi studiami — uzdolnieniach krytycznych, dzięki którym już przed wojną powierzano mi pisanie recenzji teatralnych w jednym z dzienników warszawskich. Ważniejsze jest, że jako członek Klubu Miłośników Konrada brałem przed parą laty udział w szczegółowych dyskusjach nad powstałą wówczas przeróbką „Frei z Siedmiu Wysp” Olgi Zeromskiej (również członkini Klubu) i nad przekładem „Jutra” Wojciecha Gnatczyńskiego. Ponadto tak się złożyło, że od pierwszych dni powstania Grupy „Pro arte” obserwowałem pilnie jej prace i — na zaproszenie samej młodzieży i jej kierowniczki — uczestniczyłem nie tylko w próbach, ale także w dyskusjach zasadniczych o celach Grupy i jej repertuarze. Sądzę, że te wszystkie względy dają mi pełne prawo skorzystania z Pana zaproszenia do dyskusji, a nawet stwarzają obowiązek, bo młodzież, która korzystała z moich rad, może się spodziewać mego głosu w tej sprawie. Nie zamierzam podejmować szczegółowej polemiki z recenzją p. J. Biela-

towicza, zwłaszcza, że własne stanowisko w sprawie działalności „Pro arte” sprecyzuję w innym miejscu i czasie. Pragnę jednak wyrazić przypuszczenie, że recenzja ta zapewne przesłabła bez przykrych ech, gdyby nie jej ton. Ten ton raz i raz: jest to niechęć i niechęć ironiczna i nieprzychylna dla kierowniczki artystycznej Grupy i — co gorsza — dla samej młodzieży. Ocen rzeczowo-krytycznych jest w tej pracy niewiele i dlatego trudno z nią walczyć. Bo co można przeciwstawić twierdzeniu, że dla Klubu Miłośników Konrada było małym zaszczytem (a więc prawie dyshonorem) podpisanie afisza o wystawianiu utworów Konrada przez „Pro arte”? Albo ogólnikowo (czyli apodyktycznie) twierdzeniu, że Olga Zeromska do dialogów Konrada w „Frei” dodała swoje „własne koncepcje dość wpatliwej wartości artystycznej”? Czy mam powiedzieć, że Klub Miłośników Konrada od paru lat marzył o wystawieniu „Frei” i na pewno nie delegowałby swego założyciela dr. Witę Tarnawskiego do zabrania głosu na premierze (czego ten nie mógł uczynić jedynie z powodu choroby), gdyby nie przywiązywał dużej wagi do realizacji tego zamiaru? Czy mam przypominać, że każda przeróbka utworu prozaicznego, na scenę połączona przede wszystkim na wyłuskanie oryginalnych dialogów i że krytyk, jeśli twierdzi, że dodatki do tych dialogów nie są udatne, to powinien podać, na czym polegały błędy adaptatora? Czy mam twierdzić, że przeróbka Olgi Zeromskiej jest doskonałością i w tak naturalny sposób bronić jej przed niesprecyzowanymi zarzutami? Bo przecież polajankę Pana Bielatowicza na temat przekleństw Heemskirka nie mogę brać poważnie, skoro — jak mi jest wiadomo z dyskusji klubowych — te właśnie przekleństwa sugerował autentyczny komandor polskiej marynarki jako typowe dla polskiej braci marynarskiej. Nie, wołę zrezygnować z walki z cieniarni i w zamiar zastąpić p. J. Bielatowicza w ściślejszym określeniu, jaki błąd popełniono w przeróbce „Frei” Zeromskiej ma tę wadę, że „Freja” Zeromskiej — jej zwarze jest o wiele dłuższy w pierwszym akcie, które, na szczęście, bardzo łatwo usunąć. Pca tym sztuka zbudowana jest dobrze i ciekawie. Adaptator sztuki wydobyla główne spicje dramatu: konflikty między egoistycznym realizmem Frei a idealizującym realizmem romantycznym Jaspersa. Wbrew temu co pisze p. J. B. postać Nelsona uważam za drugoplanową, w czym zgadzam się z wielką miłośniczką i znawczynią Cnrada Marią Dąbrowską.

Pomijając jednak subtelności interpretacyjne (bo Conrad jako wielki pisarz może i musi być widziany i odczuwany pod wieloma kątami i w różny sposób) jestem najbardziej przekonany, że w zestawieniu z wieloma innymi przeróbkami utworów Cnrada „Freja” Zeromskiej wychodzi obronnie. Autorka z całą sumiennością poddała tę przeróbkę obszernemu dyskusjom w łonie Klubu Miłośników Konrada, uwzględniła wiele sugestii specjalistów i w rezultacie jej praca nie zasłużyła na takie potraktowanie jak to uczynił p. J. Bielatowicz. Ocena jej pracy może być kontrowersyjna, ale autorce z pewnością należało się rzeczowe sformułowanie zarzutów, a nie złośliwości w rodzaju przymiotnikowe-

go kwalifikowania jej pióra jako „mniej świetnego” lub pogardliwe wzruszenie ramionami z wysokości stałego stolca w redakcji („trudno... wymagać jeszcze jakiejś koncepcji reżyserkiej”). Osobiście zgadzam się z rezydentem „Ostatnich Wiadomości”, że przeróbka Zeromskiej jest bardzo zreżna. Niestety, przedstawienie premierowe wykazywało spore błędy techniczne i zahamowania aktorskie. Ale obowiązkiem krytyka jest odróżnienie tych przypadkowych zjawisk (zdarzających się nawet najlepszym reżyserom i największym teatrom: vide słynne skandale na premierach Leona Schillera) od głównego nurtu sztuki i przedstawienia. Ten nurt ujawnił się zaraz w następnych przedstawieniach „Frei” i „Jutra”, gdy aktorzy przezwyciężyli trzęsą, a zespół techniczny opanował zmiany (czyli przejścia z obrazu do obrazu).

Takie same i gorsze złośliwości spotkały ze strony Pańskiego recenzenta młodzież (Heemskirk — „len skonczone” lub „zmarłych”; Gorniakówna — „śmieje się jak pozytywka nakręcona na jeden piskiwy ton”; Schultz — „ni te życie ni to beczka”). Zawsze byłem przeciwny takiej impresjonistycznej i apodyktycznej krytyce. Nie wątpię, że tego rodzaju metod nie może pochwalac i sam Pan Redaktor, gdyż nie przypominają one w niczym spokój i umiar s. p. profesora Bcrowskiego, którego pamięć czcimy obydwa. W sumie nie można się dziwić, że ton, po prostu ton krytyki p. J. B. spowodował protesty — być może zbyt gwałtowne (jak Pan pisze pełne inewekty), ale przynajmniej w części usprawiedliwione równie gwałtownym wylewem złego humoru Pańskiego współpracownika (przynożone przykłady plus ironiczna uwaga o oklaskach za samo stanięcie tej młodzieży na rampie — chyba uzasadniają takie określenie jego artykułu).

Nie potrzebuję przekonywać chyba Pana Redaktora, że tego rodzaju wystąpienie nie może być nazwane pedagogicznym. Oczywiście nie chodzi mi o p. Zeromską, która dość dawno pracuje w teatrze, aby wiedzieć jak i co myśleć o różnych rodzajach recenzji. Zresztą — choć nie jestem pedagogiem — moje doświadczenie krytyczne przekonało mnie, że ludzie teatru (a tym bardziej młodzi adepci) znoszą dobrze każdą krytykę i nieraz potrafia z niej skorzystać — pod warunkiem że jest rzeczowa. (Nie jest tajemnicą, że moja przyjazna i obfita współpraca literacko-publicystyczna z Olgą Zeromską zaczęła się od surowego — ale rzeczowego! — skrytykowania przez mnie niektórych jej ówczesnych metod recytacyjnych, przed pięciu laty na łamach „Orla Białego”). Czego boi się każdy artysta, czy kandydat na artystę teatralnego — to ironii, złośliwości i sumarycznych polajanek. A tego wszystkiego nie pożałował p. Bielatowicz ani Grupie ani jej kierowniczce. Na tym koncze moja „krytyka krytyki” p. J. B., którego talent publicystyczny cenę zbył wysoko, bym mógł sobie pozwolić na ogólniki lub niedopowiedzenia w tej konkretnej sprawie, w której nie mogę się z nimi zgodzić.

pozostaje jeszcze sprawa innych osiągnięć Grupy „Pro arte”, jej charakteru i repertuaru. Nie jest przypadkiem, że organizacja ta nazwała się Grupą i to grupą „Pro arte”. Jej po-

mysl, organizacja i zamierzenia nie opierają się na wzorach teatrów amatorskich, lecz na analogiach z działalnością amerykańskich teatrów zarobkowych — tzw. „University Theatres”, „Little Theatres” i „Community Theatres”. Interesujących się bliżej tematem odsyłam do bogatej literatury przedmiotu, którą znaleźć można w każdej lepszej bibliotece publicznej. Tu tylko przypomnę, że ruch tych „małych teatrów” powstał w Stanach Zjednoczonych w początku lat dwudziestych naszego wieku jako reakcja na skomercjalizowanie teatru zawodowego. Dział ruch ten może się poszczycić (około tysiącem teatrów tego rodzaju — od miasteczka aż do wpływowych i nawet posiadających własne gmachy.

Grupy tego rodzaju różnią się od sporadycznych i płynnych zespołów amatorskich obowiązkiem posiadania kierownictwa osoby wykształconej zawodowo, stałością i dyscypliną pracy zespołowej (nie opartej na tzw. hobby, lecz na głębszym przeżyciu artystycznym), stałym dążeniem do kształcenia się (także teoretycznego) i ponad wszystko ambitnym repertuarem. W świetle tych zasad proponowane Grupy „Pro Arte” grania Anzczyca (i to po wystawieniu serdecznie pochwalonych przez ZYCIE sztuk Musseta, Synge’a i dwóch jednoaktówek Fredry, z którego druga — „Pan Benet” wykała dalszy postęp w rozwoju aktorów i w doskonałym reżyserii) — jest grubym nieporozumieniem.

Chociaż być może będą się w tym różnił z Panem Redaktorem, który zdaje się być zwolennikiem „rozwoju organicznego”, czyli ideału małych ambicji, uważam, że nie jest to droga właściwa, gdy chodzi o ten typ pracy, zwłaszcza z autentyczną młodzieżą, która, aby coś osiągnąć, musi sięgnąć wysoko. Zresztą nie bez powodu w doskonałej sztuce szkolnej — Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej — zaczynaano od Wyspiańskiego (I rok studiów) i dopiero na drugim grano Fredry.

Potwierdzenie poglądu o słuszności czysto artystycznego i ambitnego repertuaru znalazłem parę dni temu w nuncie jednego z najwybitniejszych dramaturgów polskich (nazwiska nie podaję do druku ze względów zrozumiałości), który udzielał mi wyłączenia na swoje sztuki wyraża wielką radość, że jedną z nich zagra „Pro arte” — właśnie obok sztuk Conrada, Musseta, czy Synge’a.

Nazwa „Pro arte” obowiązuje. Mam nadzieję, że grupa o tej nazwie zostanie jej wierna. Cieszę się, że w tej chwili zaczęła próby nad „Przedziwną szwecją” Garcii Lorca, że — w miarę postępów w swej pracy artystycznej — zrealizuje Anouilha, Claudela, Mikolaję z Wilkowicka, a nawet Słowackiego. Mam nadzieję, że do czasu wystawienia „Złotej czaszki” ta ofiarna i pełna zapалу grupa młodych pionierów opamięta nie zawinicie przez siebie trudności w polskiej wymowie, które tak ostro — rzekłbym nielitościwie — wytkomiał m. p. J. Bielatowicz zapominając widocznie, że większość członków „Pro arte” konczyła uniwersytety angielskie i na codzień musi używać angielskiego języka.

Proszę mi wybaczyć, Szanowny Panie Redaktorze, że zajęłem sporo miejsca w Pańskim Cennym Piśmie. Wydaje mi się jednak, że sprawa zasługuje na rzeczowe i spokojne omówienie w organie Veritasa, który wydaje także pismo dla młodzieży.

Z wyrazami szacunku

Janusz Jasińczyk

—

Szanowny Panie Redaktorze!

Zachęcony Pana notatką redakcyjną w nrze 20 ZYCIA „W sprawie recenzji z przedstawienia Grupy „Pro arte”, zabieram po raz pierwszy głos w sprawie recenzji p. J(ana) B(ielato)wicz(a), która ukazała się w nr. 16 tegoż pisma. Tytułu do wypowiedzenia się na ten temat dopatruje się nie tylko w fakcie, że byłem widzem nie jednego, lecz trzech przedstawień „Frei” i „Jutra” ani wyłącznie w moich — skromnych i na pewno niedostatecznie ugruntowanych specjalnymi studiami — uzdolnieniach krytycznych, dzięki którym już przed wojną powierzano mi pisanie recenzji teatralnych w jednym z dzienników warszawskich. Ważniejsze jest, że jako członek Klubu Miłośników Konrada brałem przed parą laty udział w szczegółowych dyskusjach nad powstałą wówczas przeróbką „Frei z Siedmiu Wysp” Olgi Zeromskiej (również członkini Klubu) i nad przekładem „Jutra” Wojciecha Gnatczyńskiego. Ponadto tak się złożyło, że od pierwszych dni powstania Grupy „Pro arte” obserwowałem pilnie jej